

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 15 kwietnia 1945 r.

Nr 20

EDMUND OSMAŃCZYK

Na pobojuwisku

I

Śląsk Opolski wrócił do Rzeczypospolitej. Starostowie polscy objęli władzę nad powiatami, burmistrzowie nad osiedlami miejskimi. „Odrabana gałązka wróciła do Macierzy“.

Biało-czerwone chorągwie, orły piastowskie witają przedstawicieli Rzeczypospolitej. Jesteśmy na ziemi ojców.

Może przyszedł pokolenia znajdują wyrazy oddające wielkość przeżywaną przez nas chwilę. Dla nas otepiaty w gigantycznej wojnie ta prostota samego faktu historycznego, dokonania się dziejowej sprawiedliwości, jest onieśmiałająca. Serce nie tłucze się w piersi, nie dławia gardła, ale zwyczajnie przystaje na sekundę, aby znów bić nerwowo troskami dni powszednich. Więc nie mogąc chwili powrotu rozdzwonić, rozburzyć, rozwichrzyć, uciekamy do spraw dotykanych, uchwytnych, widocznych, do administracyjnego inwentaryzowania przeszłości i teraźniejszości Opolszczyzny w ramach Polskiego Państwa.

Widzimy miasta w większości zniszczone działaniami wojennymi, w granicach od 20 do 80%. Wsie popalone i zburzone w stopniu daleko mniejszym. Cyfra ogólna 30% może być przybliżona. Ludność w miastach niejednolicie utrzymała swój stan. W Bytomiu ze 100.000 mieszkańców pozostało 55.000. W Górnym Śląsku ze 130 000 około 80 000. W Opolu z 52 000 — nikogo! W Kluczborku z 12.000 — 70 osób. W Olesnie z 7.000 — 800 osób. W Gorzowie z 3.000 — 1000. W Raciborzu jak w Opolu — nikogo!

Życie gospodarcze miast zamario zupełnie. Między szkieletami wypalonych domów wyróżniają się domy całe, wyróżniają się zabudowa i domkami sklepy, w których nic nie ma. Totalna gospodarka opróżniła je już przed rokiem. Ze zwieszonych nad wypalonymi i pustymi sklepami sztyldów, o barwach czarno-białych lub czarno-czerwonych, spoglądają na nas melancholijnie gotykami piśnane nazwiska: Kosmalla, Bogatz, Jendretzki, Komar, Przewłoka, Wiescholke-Erben... Statystyk powiatowy oblicza, że na sztyldach co czwarte nazwisko jest niemieckie, to znaczy Mueller, Schmidt, czy Mayer.

Na zachód od Odry, położone pięknie, kwitnie w zieleni miasto biskupie Nisa (na Śląsku są dwie rzeki Nisy — Kłodzka i Łużycka — oraz jedno miasto Nisa). W mieście tym jest wielka elektrownia, której prąd oświetla całą Opolszczyznę, wsie i miasta. Obecnie Nisa jest w ogniu walk. Opole, Olesno, Kluczbork, Strzelce toną w ciemnościach. Dalsza konsekwencja — brak wody i gazu.

W opustoszałych mieszkaniach tumany pierza wśród okaleczonych sprzętów. Botycznymi ulicami i polnymi drogami przemierzają się kobiety, mężczyźni, wyrostki z tobołami łupów z Opolszczyzny. To kruki z Częstochowskiego, Zagłębia, Wieluńskiego, nawet z Łódzkiego, przybyły tu na żer. Schwytani tłumaczą się powrotem... z obozów koncentracyjnych, gdzie szlachetni SS-mani dali im złote i w kartach rozpoznawczych przybili pieczęć „Wymiany dokonano“. Polska milicja ma wiele pracy, by zabezpieczyć polski dobytek przed roźnymi ptactwami.

Po wsiach nie ma koni, bydła i trzody. Niemcy uprowadzili większość za Odrę. Pola obsiane w połowie. Wiosenne prace rolne wykonują przeważnie kobiety i dzieci. Nie jest to obraz nowy. Po powstaniach śląskich, pamiętam, było to samo. Kobiety orały i siały. Gospodarstwo musiało być utrzymane.

Tyle zaciężności w kobietach spotkać nie łatwo. Jesteśmy w kraju, który ma najrodniejsze i najpracowitsze niewiasty. Wszystkie mówią po polsku i modlą się po polsku. Im zawdzięczamy, że Śląsk po dziś dzień zachował polski charakter.

Na 130.000 gospodarstw Opolszczyzna posiada 88.000 gospodarstw karłowatych i małopowielkich. Nie trzeba dodawać, że właścicielami są Polacy. Niemiec nie ma milości do ziemi, nie potrafi trzymać się pazurami kilku „juterek“, jak na Śląsku zwą „morgi“.

Rzeczpospolita upełnowolni chłopstwo opolskie, lecz przedtem starostowie przeprowadzają narodowościowy kataster, oddzielając ludzi polskiej krwi od przybyszów z Prus, Bawarii i Westfalii, których usunie się bezpowrotnie.

II

W Opolu, mieście drzew i ogródków, kwitną wśród zgłiszcz krokusy. W kalendarzu sprawujemy datę: 21 marca. Zgadza się. Wiosna.

Przez pontonowy most na Odrze idą kolumny niemieckich jeńców. Z Wrocławia, z Nisy, Grotkowa, Niemodlina. Patrzą zdumieni na sztandar polski powiewający z ratusza i zamkowej wieży.

— Ihr seid in Polen! — tłumaczymy uprzejmie.

— Aber, das ist doch Oppeln? — pada głos z szeregów.

— Nein, das ist Opole.

Nie rozumieją. Pruscy żołnierze, którzy przeszli dwukrotnie przestrzeń Odra-Wolga i nie widzieli Polski, której miało już przecież nigdy nie być, zwieszają pochmurnie głowy. Kłamstwo pruskiego „Lebensraum“ budzi w nich uczucie krzywdy. Trzeba będzie stosować ostre metody wychowawcze wobec Niemców, aby pojechali wreszcie, że to co jest sprawiedliwe może być dla nich „nie dobre“, że między sprawiedliwością ludzką a „dobrem niemieckiej nacji“ jest przepaść.

Opodal pontonowego mostu na wyspie w rozwidleniu Odry stoi szczyt piastowskiego zamku, wieża, z rozczapierzonym ogromnym krukiem na szczycie. Zamek zburzono w 1930 roku. Zburzono nawet fundamenty, aby już ślad nie pozostał polskiego budownictwa. Ziemia Opolska jest jednak nieustępliwa. Pod fundamentami zamku odkryto „biskupińskie“ osiedle. Propaganda Ostbundy nieuków uderzyła w wielki dzwon: germańskie osiedle prehistoryczne pod piastowskim zamkiem. Zjechali się uczeni z Berlina, Pragi, Poznania i Sztokholmu. Nie było wątpliwości — osiedle ma wszystkie cechy słowiańskie. Roboty wykopaliskowe wstrzymano, propaganda umilkła.

Decyzją prezydenta rejencji zrównano ziemię i wybudowano na miejscu piastowego zamku, wzniesionego na słowiańskim osiedlu, nowoczesny, koszarowy gmach administracji pruskiej ziem opolskich.

Z biurka prezidenta rejencji wyjmuję papier listowy. Przekreślam tytuł „Der Regierungspraesident Oppeln den... 194...“, piszę „Opole w marcu 45“ i rozpoczynam artykuł do „Odrodzenia“. Jest w tym dużo dziecinnej satysfakcji. Dosłownie dziecinnej. Pamiętam w 1923 roku siedłem z matką przez Opole (miałem wówczas lat 10) i zadawałem matce tysiące pytań po polsku. Idące za nami bruchate niemczyśko ryknęło nagle: „Hier wird deutsch gesprochen!“ A ja właśnie gapielem się na wieżę zamkową, na której wówczas trwał jeszcze piastowski orzeł. Struchlałem, gdy mi wieżę przestonił pruski kloc. Matka nerwowo schwyła mnie za rękę. Skręciliśmy w boczną ulicę.

Teraz w Opolu nie spotkam Niemców. Nawet tu, w niedostępnej dla Polaka rejencji, jedynym śladem gburowatego „Hier wird deutsch gesprochen“ jest cudowny napis przy wejściu:

„Du bist in einem deutschen Haus!
HEIL HITLER gruess!
Sonst fliegst du raus!“

Widocznie wszyscy Niemcy w Opolu przestali pozdrawiać się „Heil Hitler“, bo wylecieli i nie ma ani jednego.

III

W kościele na Górcie (przypomina Sacré Coeur na Montmartre) ostatni spis poległych parafian, przybyty do drzwi zakrystii: Obracaj, Gousko, Olschenka, Rusitzka, Cebulla, Dziwissek, Gogolok, Barteczko, Grusczka, Kulik, Chluba, Kowohl i Krajana.

Przed kościołem, na kamienicy muzeum, polskie plakaty z granicami Odry i Nisy oraz napisy:

„Nie będą Matki Polki rodziły więcej żołnierzy germańskich“.

„Śląsk Opolski był, jest i będzie polskim“.

W muzeum orły piastowskie i polskie chorągwie. Pruska omyłka. W trumnie muzeum nie wolno zamykać gości żywego narodu. Wpiero trzeba zabić naród, potem można mumifikować ślady.

Zachował się nieuszkodzony ratusz, wybudowany na początku XV wieku. W muzeum jest kamień szczytowy ratusza z 1411 roku z orłem piastowskim usuniętym w czasie przebudowy w r. 1936. Hitlerowski orzeł z piaskowca rozpadł się od rewolwerowych kul.

Przed kościółkiem św. Sebastiana, gdzie jeszcze w sierpniu 1939 roku odbywały się polskie nabożeństwa, stoi Bożemka z odlupanym napisem polskim: „Od ognia, głodu i wojny zachowaj nas, Panie“.

Nie zachował. Mamy pobojuwisko.

IV

W Kluczborku mieście i powiecie była większość Polaków wyznania ewangelickiego. Podobnie jak na Mazurach nastąpiło tu rozszczępienie z narodem polskim, na skutek mądrego jadu germanizatorów, że Polska to katolicki naród, w którym nie ma miejsca dla protestantów. Hasła „polsko-katolickie“ na Śląsku odepchnęły Poiactwo kluczborskie, sycowskie, namysłowskie, tak jak Warmia i Poznańskie myślały parafialną, nie państwową pogrążyły w prusacyzm Mazury.

W zborze kluczborskim, wzniesionym, jak napis głosi, w 1745 roku przez Daniela Mietę, jest tablica ze spisem pastorów miejscowych od r. 1707 do 1907. Oto nazwiska:

Tarnka, Schlossarek, Russke, Chmura, Czuda, Piechatschek, Jurczek, Neumann, Halama, Nowak, Swientek, Cichon, Kokott, Wościech, Ulitzka, Stener, Pixa, Moschek.

Na ławkach w zborze tabliczki, oznaczające nazwiskami opłacone miejsca w r. 1945. Wśród nazwisk niemieckich znajdujemy i takie:

Kantor, von Borkowski, Opolka, Bragulla, Fabianek, Michalik, Koschinski, Wolnik...

W mieście nie ma ludzi. To samo po wsiach. Z 57.000 mieszkańców powiatu i miasta pozostało trzy tysiące. Reszta odeszła za Odrę wraz z cofającą się armią niemiecką. Ile było przymusu (że był, stwierdziliśmy na pewno), a ile obawy, określić trudno. Faktem jest, że katolicka ludność polskiego powiatu opolskiego, czy oleskiego ukryła się przed ewakuacją i w większości pozostała, natomiast polskiej ludności ewangelickiej w kluczborskim oglądamy garstkę.

W latach przedwojennych Polacy Nadodrza i Prus Wschodnich świadomie usunęli z mowy potocznej i pism pojęcia Polak-katolik i Polak-ewangelik. Przyjęte na Kongresie Polaków w Niemcach 6 marca 1938 roku „Prawdy Polaków“ rozczynały raz na zawsze problemy polskich sumień. Oto prawdy Polaków:

Prawda pierwsza:

Jesteśmy Polakami!

Prawda druga:

Wiara ojców naszych jest wiara naszych dzieci.

Prawda trzecia:

Polak Polakowi bratem.

Prawda czwarta:

Codzień Polak narodowi służy.

Prawda piąta:

Polska Matką naszą, o Maice nie wolno mówić źle.

V

W Gorzowie, małym miasteczku w powiecie oleskim, spotykam przy kościele starówinkę, pamiętającą moich rodziców i mnie pędzaka, któremu gorzowskie barokowe kamieniczki wydawały się olbrzymimi zamkami. Dopytuję się o znajomych. Nie ma. Umarli. Zginęli. Wyjechali.

Śladów polskości, poza nazwiskami, nie ma tu już żadnych, oczywiście nie licząc mowy polskiej pozostałych w Gorzowie mieszkańców. Z 3.000 pozostał tysiąc, trzecia część.

— Trzecina się aby ostała, synku, ale dobre Polactwo, rządzący wszyscy po naszymu — opowiada mi starowinka. („Rządzący“ znaczy mówić).

W kościele usunięto polskie napisy. Szukamy więc polskich chorągwi. Są. Na jednej napis: „Hi. Franziskus bitte fuer uns!“ Ten napis jest naszyty na oddzielnym skrawku jedwabu. Odpruwamy go i oto mamy spłowiwały napis: „Św. Franciszku, módl się za nami!“

Jedna z chorągwi z Matką Boską ma materię starą bardzo, zetlałą już i jakby poplamioną. Napisu nie ma. Z boku tylko wyhaftowana data 1733. Zdumieni oglądamy chorągiew pod słońce i — odczytujemy wyprute litery:

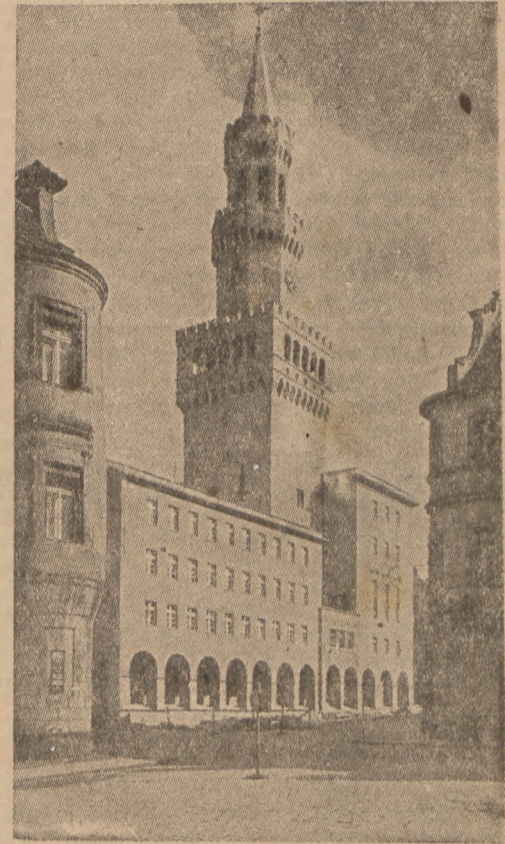
„Bractwo różańcowe założone w Gorzowie w r. 1733 od ks. Proboszcza Dubiela. — Święta Królowo Różańcowa, módl się za nami.“

Litery wyprute „łoińskiego roku, jak gestapo robiło rewizję w kościele“.

W zakrystii „Modlitwy po Mszy św.“ w języku polskim i niemieckim. Wśród ewangelii i mszałów dwie polskie książki:

„Katolicki katechizm dla diecezji wrocławskiej“. Wrocław 1871 druk. Nischkowskiego. Orz:

„Lekcje i ewangelie“ ks. Tomanka. Cieszyń 1920 r.



Ratusz w Opolu

Proboszcza nie ma. Zabrali go hitlerowcy. pobliwszy wpród za chęć pozostania na miejscu.

VI

W Olesnie na uroczyste przejście władzy przez starostę polskiego 25 marca 1945 zesła się z wiosek gromada Polaków.

Starosta, sam Opolanin, trafił swą mową do serc. Ludzie płakali, a śpiew „Boże coś Polskę“ załamywał się w krtaniach. Dawni działacze Związku Polaków, mający w czasie wojny za sobą lata obozów koncentracyjnych, gdy przyszło im przemawiać, z trudem dobywali głosu.

Na cmentarzu Olesna są groby powstańców. W sercach oleskich ludzi jest pamięć powstania. Łzy, które płynęły w Olesnie, były łzami żołnierzy, którzy dotrwali do zwycięstwa.

W Kluczborku, opustoszałym mieście, w jednym z domów przy trakcie wrocławskim, w wyrabowanej całkowicie izbie, na obdartej z obicia kanapce leży młoda kobieta o siwych włosach i promiennym uśmiechu. Drewniane buty, czarna sukieneczka i pasiasta kurtka na zgrzebnej koszu. To wszystko. Żadnych dokumentów, żadnego tobołka. Na kurcie w dziewczęce pasy zielony trójkącik. „Dobry człowiek. Więzień polityczny“. Szała widać z jakiegoś koncentracyjnego obozu do swoich; do Polski. W opustoszałym mieście, czekającym na przybycie polskiego starosty, weszła do przydrożnego domu, by odpocząć. Serce przystanęło i nie poruszyło się więcej.

Żołnierz nieznaný? Zarządzeniem władz polskich znajduje grób obok śląskich powstańców. Zmarła na polskiej ziemi, która już wielu przysparzała ukrzywdzonych do śmierci.

VII

W marcu 1945 roku rozpoczęliśmy odbudowę Państwa Polskiego nad Odrą i Nisą.

Ludzie, którzy tam idą pracować nie zastają kraju, który się „obejmuje i rządzi“, lecz kraj, który trzeba ożywić pracą, usunąć zgłiszcz i gruzy, oczyścić budowlę, a ziemię zorać i obsiać. Kraj jest bogaty, tylko trzeba bogactwo wydobyc własną pracą. Za kilka lat będzie to jedna z najbogatych dzielnic środkowej Polski. Tak, środkowej, bo z Opola do granicy z Niemcami, do łużyckiej Nisy jest dwieście kilometrów.

Chodzę po Opolszczyźnie, przejeżdżam opustoszałe ziemie wrocławskie i myślę o przebudowanym Krakowie, o kretowiskach bchańskiej Warszawy, o zduszonej w chłopskich izdebkach wsi polskiej. Po cóż ci ludzie się gnieźdzą, po cóż zużywają tyle sił na zdobycie suchotniczej klatki, kiedy tu na zachodzie jest ziemia i pracy i mieszkań dla wszystkich.

Oddycham zielenią, wiosennym krajobrazem. Jakież tu pięknie nad Odrą.

Cóż, że dziś pobojuwisko. Ale nasze. Można tu cuda zrobić. Każdy kto ma myśli jasne i silne ręce wyrosnie tu na swoją miarę.

A znasz, bracie, swoją miarę? Myślę, że nie. Bo miarę ludzką poznaje się tylko tam, gdzie jest praca bez miary.

Takim krajem jest polska ziemia nad Odrą i Nisą.

LEON KRUCZKOWSKI

Mesjanizm odgrzewany

(Po premierze „Męża doskonałego” Jerzego Zawieyskiego)

Sztukę Zawieyskiego spotkał wielki, zupełny wyjątkowy zaszczyt: jej premiera krakowska była pierwszą w wyzwolonym kraju manifestacją scenopisarstwa polskiego lat okupacyjnych. Była więc w całym tego słowa znaczeniu „wydarzeniem”, nie tylko w skali lokalnej Krakowa. Po długim, mrocznym okresie przymusowej niemyści miał oto jawnie i głośno przemówić ze sceny autor polski, który z narodem swoim przeżył, przecierpiał i przemyślał ponurą noc niewoli — przemówić i dać świadectwo prawdziwie tego czasu, dramatyczniejszej ponad wszelką dramaturgię. Miała więc premiera „Męża doskonałego” znamiona „chwili oszklawionej”, a oczekiwania publiczności zaostrzył jeszcze prospekt wydany przez dyrekcję teatru, gdzie utwór Zawieyskiego określono jako „ramy naszej historii”, „skróty, syntezę wojny”, „przejmującą aktualizację tragedii Warszawy”.

Wyznajmy od razu: spotkał nas zawód głęboki i dotkliwy. Zdawało nam się bowiem, że dziś, gdy słowo sceniczne w Polsce odzyskało swoje prawa, będzie przemawiał językiem jasnym i ścisłym, skoncentrowanym i jednoznaczny, trafny i celny, niechybnym w nazywaniu rzeczy po imieniu. Że myśl pisarza polskiego, do żaru szlifowana na twardej brusie takich pięciu lat historii, zmierzy się jak stalowa klinga z rzeczywistością przecierpaną i przeżyta — ostrze na ostrze, sztychem otwierającym mężnie wszystkie węzły wżarte w żywe ciało. Że da świadectwo męce — bez cierpiętnictwa, grozie faktów — bez biblijnego patosu, dramatowi narodu — bez mgieł i mętów metafizycznych. Zdawało nam się, że właśnie straszliwy los Warszawy wyżenie wreszcie z Polski — raz na zawsze — upora literatury koturnowej a bezbronnej, znarkotyzowanej jadami tamtej jeszcze, stuletniej niewoli, jeremiaszowej literatury „lamentu wspaniałego” i derwiszowskich konwulsji.

Spotkał nas zawód głęboki i dotkliwy. Zawieyski przetransponował rzecz konkretną, z krwią i kośćmi wyraźnie określona w czasie i przestrzeni, uściślona w treści i sensie — na ciemny i zawiły, choć poetycko piękny, bełkot intelektualny, na „filozoficzny” żargon „hiobiady”. Jeszcze raz, niestety, pisarz polski w poszukiwaniu formuły syntetycznej narodowego dramatu sięgnął do magazynu odleżałych konwulsji literackich, do metaforyki najbardziej wieloznacznej, relatywistycznej i niezdiscyplinowanej jaką zna historia piśmiennictwa: do Biblii.

Koncepcja „Męża doskonałego” jest próbą ucieczki od konkretności teatru dziejowego — w beczkowską, ahistoryczną próżnię jałowej i nużącej dialektyki. Więcej: wyrosła z postawy świadomie antyhistorycznej. **„Zdarzenia nie są osnową historii”,** powiada jedna z postaci dramatu, a inna podkreśla tę samą myśl jeszcze dobitniej: **„Co za śmieszne pojęcie o historii uporządkowanej na zasadzie faktów”.** Jest w tych znamienych aforyzmach nie tylko dąs nonszalancki; Zawieyski snuje konsekwentnie nic tradycji tak dobrze znanej w literaturze polskiej wieku XIX-ego, wieku niewoli: tradycji romantyczno-mesjanistycznej. Polska — Hiobem współczesnego świata, jak niegdyś była „Chrystusem narodów”. Z klimatu klęsk **niezrozumianych** i — rzekomo — niezawinionych rodzą się tego rodzaju konstrukcje metaforyczne, zawsze i wszędzie tam, gdzie nie dostaje myśli odważnej i bezkompromisowej, zdolnej obnażyć rzeczywistość, nieustraszenie patrzeć w oczy faktom, mężnie wspinać się po splątanych rusztowaniach wydarzeń. Z postawy wyrastają biernej i kwietystycznej, więc i u Zawieyskiego **„cała historia Hioba wyraża się w rozmyślaniach — i to jest piękne”...**

Niestety, dialektyka tych „rozmyślań” blińska jest przysłowiowemu przelewaniu „z pustego w próżne”, gdzie każde słowo ma podwójne dno a zdania chwieją się jak trzciny nad moczarem:

„Co było dobre zamieniło się w złe.”
„Pozostał na ruinach świata mąż Hiob. Ale nie jest już Hiobem.”

„Hiob nie tylko powtarza „nie ma” ale przyjmując też możliwość wszelkiego „jest”.

„Czas przeszły musi być poprzedzony przez czas teraźniejszy. tymczasem wygląda tak, jakby czas przeszły istniał od razu. A może w ogóle czas nie istnieje?”

„Historia Hioba jest nakazana przez Boga, gdy jeszcze początek Hioba nie był jego początkiem”.

Takie i tym podobne zdania co chwilę padają ze sceny. Takim językiem przeinawia utwór, który chce być wyrazem prerażliwie konkretnych przeżyć narodu w najkrytyczniejszym okresie jego dziejów! Zawieyski pragnął dać dramatu o zbiorzeniu Warszawy, jak sam wyznaje: „to bolesne, tragiczne „wzrostko” zamknąć w kształt artystyczny”. W rzeczywistości przegadał rzecz na niebotyczną metaforę, artystycznie chybioną i społecznie nieodpowiedzialną.

Nieodpowiedzialną i szkodliwą. Szkodliwą zwłaszcza w swojej głównej tezie, drażącej poprzecz cały utwór:

„Prawdziwa historia świata jest historią zła.”
Wydaje mi się, że tak beznadziejnie pesy-

mistycznej, tak wrogiej życiu, tak antyludzkiej konkluzji nie usprawiedliwia nawet koszmarna ponurość czasu, w którym powstała sztuka Zawieyskiego. Takie konkluzje porastały trującym zielskiem na peryferiach wynaturzonej mistyki najciemniejszego średniowiecza. Takie konkluzje rodzą się właśnie z pogardy dla rzeczywistości, w bezdrożach ucieczki od myśli porządkującej dzieje „na zasadzie faktów”; takie konkluzje płyną z założeń mistyfikacyjnych, z chęci przemianowania konkretnych historycznych na ciemną i zawiłą mowę odgrzewanego mesjanizmu.

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Artykuł ten nie jest i nie miał być recenzją. Starałem się wyrazić jedynie myśli, jakie nasunął „Mąż doskonały” ujrany i wysłuchany dzisiaj, w atmosferze pierwszych tygodni wol-

ZOFIA NAŁKOWSKA

WĘZŁY ŻYCIA*

Tak już na zawsze wlokły się za nią widma tych ludzi i ich sprawy. Cokolwiek zrobiła złego, napełniającego jej pamięć żalem i obrzydzeniem, nie kończyło się na niej. Obciążała się sobą los swych dzieci, zapuszczała tę truciznę w głąb ich przyszłości.

Dziś jeszcze całą istotą swoją zawieszona jest u każdego uśmiechu Kasi, dręczy się niedobrym stanem nerwowym Oxeńskiego, między nimi obojgiem wciąż jeszcze upatrjuje obecność siebie. Nie może przeboleć, że Sonka wyniosła się z domu i zamieszkała u Tekli, że widocznie nie miała dość swobody i wolała nawet gorsze warunki w mieszkaniu siostry. Obchodzi ją nie tylko Sonka, ale także jej Baraz, ale także ten mdły, zbyt ładny i bardzo niewyraźny Dziunio, którego chyba nie bierze poważnie, z którego na pewno sobie kpi. Drży od samej myśli o Michale, który już drugi rok jest z dala od niej, ten jedyny jej syn, o którym wie tak niewiele — a sama chciała kiedyś, by zeszedł jej z oczu. I o Tekli, która jest blisko, a wy daje się równie daleka i zamknięta, jak on. I nie może po prostu wytrzymać, że Romanowi z jakichś względów zależy na Aramowiczu, że się z nim liczy, że za dużo sobie z niego robi.

Człowiek wciąż przepłata się ze światem, jest cały postrzępiony na brzegach, jak stary szal. Nie dlatego, że obcina sobie paznokcie, strzyże włosy, goli zarost, że co dnia z pianą mydla i brudem zmywa wciąż po trochu samego siebie. Że osypuje się łupieżem, płacze, siąka nosem, warstwami zeszkrobuje się przy pedicure, że cały na swych krawędziach jest tylko poniekąd sobą. Ale że w człowieku — w obrębie jego skóry — zawiera się wszystko, co widzi i wie, wszystko, co przeżył sam i przeżyli za jego wiedzą inni. Że strzępami siebie, jak frędzla, przenika w świat, że wciąż wysuwają się z niego włókienka uczuć i opłatają jakies sprawy, jakieś miejscowości, oplatają ludzi innych, dzieci i zwierzęta.

Odrębność jednostki jest złudzeniem. I straszliwa jest bolesność tych powiązań, ciężka niewola i wiekuista zależność, wciąż krwawiąca, wciąż nie mogąca się zagoić. I ona jedna sięgająca poza śmierć. Cała ważność, cała niewymowna słodycz życia, to jest to tylko, nic więcej.

ROZDZIAŁ VII.

Tylko ludzie starsi, niechętni rozmowie i zmęczeni, zajmowali białe ławy pod ścianami. Były wąskie i niewygodne, ale siedzieli na nich długo, w milczeniu, tępo spoglądając ku tej stronie sali, gdzie w rogu odgrywała się wciąż jeszcze międzynarodowa scena. A jeżeli dzwigał się i powstawali, to już aby odejść do domu.

Na ich miejsce zjawiali się inni. Tak niedaleko od Agaty opuścił się ostrożnie na siedzenie stary Działwa. Miał ruchy niepewne, zdawał się potrzebować oparcia i pomocy. Baraz, który nadszedł tuż za nim, nie znalazł już miejsca. Jednak zatrzymał się obok profesora, i zasłonił mu swą wielką osobą widok sali.

— Nie myślałem wcale, że pan tu będzie, — mówił, stojąc nad nim i sztywno pochylając ku niemu swe szerokie, kwadratowe ramiona. — Edmund nie mi nie powiedział. Bo ja jestem tu obcy, z zasady unikam takich uroczystości. Tylko wyjątkowo dziś...

— Po co pan się tłumaczy? — przerwał Działwa. — Człowiek, który nigdy nie odstępował od swych zasad, jest przecież czymś okropnym.

— Z początku, — ciągnął Baraz swoje, — pomyślałem nawet, że przyszedłem niepostrzeżenie. Bo ci tam, — ruchem głowy ukazał

ności. Być może zresztą, w innych okolicznościach czyściej wystąpiłyby pewne ściśle literackie walory sztuki Zawieyskiego.

Z całym natomiast uznaniem pragnę podkreślić formalno-teatralną realizację widowiska. Ktoś mówił mi po premierze, że „Mąż doskonały” jest raczej „dramatem książkowym”, że znacznie zyskuje w czytaniu. Jestem wręcz przeciwnego zdania. Reżyser, dekorator i zespół wykonawców ze znakomitą wręcz parą Warnecki — Małynicz na czele, raczej wsparli utwór Zawieyskiego dając mu wyraz sceniczny szlachetnie skomponowany, pełny i czysty. Gdyby się dało szczerze wyłączać treściowo-znaczeniową apercępcję tekstu, można by z satysfakcją odbierać jego kształt i wydzwięk teatralny — prawie jak utwór muzyczny.

róg sali, — są ściśle tacy, jak sobie wyobrażałem. Odpowiadają dokładnie swej formule. Nic tam nie budzi wątpliwości. Natomiast to tutaj naokoło jest w najwyższym stopniu interesujące...

— Co mianowicie?

— My.

— Co pan tu widzi takiego ciekawego?

— Jestem tu pierwszy raz, po raz pierwszy coś takiego oglądam. To jest dla mnie pokaz. Widowisko. Pewnie, że nie wszyscy tutaj mają apartamenty i samochody. Nie wszyscy dorobili się ciężkich pieniędzy, oczywiście. Ale to są ludzie, którzy w mieszkaniach mają na pewno ogrzewanie centralne, balkony i pokoje dla służby. Oni na pewno kąpią się codziennie. Ich kobiety masują się i co tydzień „układają” sobie włosy. To już jest ten typ życia. Oni przestrzegają przepisów higieny, biorą zastrzyki witamin i hormonów, mają jakąś specjalną sobie przepisana dietę. Co lato wyjeżdżają do uzdrowisk albo nad morze. Każdy już przynajmniej raz do roku jest za granicą. Ich życie już tak wygląda. I takie, jakie jest, wydaje im się całkowicie naturalne, całkowicie im należne. Już nie myślą, że mogłoby być inne.

Agata dosłyszała w tych słowach ton znajomy.

— No dobrze, — mruzczał Działwa. — To znaczy, że pan się nie kąpie, czy jak?

— Ale pan musi przyznać, panie profesorze, — słuchała dalej z niechęcią, — pan musi przyznać, że to jest jednak typ życia bardzo dziwny, w najwyższym stopniu niezwykły. Właśnie dla tych ludzi i właśnie tutaj.

— Co pana w tym dziwi? — niedbale oponował tamten. — Jakże według pana oni powinni żyć? Nie mogą przecież wszyscy siedzieć w więzieniu.

— Bo to jest typ życia całkowicie **izolowany**. Jest imitacyjny, jest umowny. Od strony samych tych ludzi — jeżeli zważyć, skąd wyszli i jak tu doszli — jest najdziwnszą uzurpacją, niczym nie usprawiedliwionym nadużyciem. Ich legitymację są podrabiane. Ponieważ to, z czego wyszli, czego przewyciężeniem właśnie się legitymują, wciąż jeszcze trwa, nie przestało trwać ani przez chwilę. Tuż obok, po prostu za ścianami. O trzy kroki stąd istnieją te same urzędy i instancje, o parę zaledwie ulic jest więzienie.

Agata myślała z goryczą: — Oto jest źródło, z którego czerpie samą siebie Sonka. Zerwała z tym Barazem przed rokiem, a do dziś jest nim cała nasycona. Nim myśli i poprzecze niego czuje.

Przeniósła zwolna wzrok na Działwę, oddzielonego od niej tylko lustrzaną przzerwą między ławkami. Widywała go tak często w rozmowach z młodymi ludźmi. Miał wśród nich uczniów i słuchaczy, miał nawet przyjaciół. Ona wiedziała, że nie idzie mu o nich samych, że jedynie ważne jest dlań coś innego, co stało się dawno i w pewien sposób określiło jego życie. Patrzył tak na nich i raczej słuchał dźwięku ich głosu, niż ich słów. Prawie zawsze z nimi się spierał, albo ich lekcewał, albo z nich drwił.

Agata znała tę jego sprawę sprzed lat. I teraz nie odrywał swych wypukłych, przekrwionych oczu od Baraza. Patząc na tego mojego draba, obającego przy tych jakichś swoich mniemaniach i sądach, myślał najwidoczniej nie o tym, co mówił. Nie dawał się wciągnąć w ten łatwy układ przeciwności, nie o to mu szło, nie czuł się wcale powołany do oceny świata według tak pobieżnych sprawdzianów.

Jak przed godziną w młodym Oxeńskim, z którym się nie mógł dogadać, tak teraz w Barazie pociągało go to, co było dlań takie dręczące, co w nim budziło nieuzasad-

nione pretensje. Tak, można by powiedzieć, miał żal do nich o to, że są młodzi, że się ruszają i śmieją, że są żywi. I teraz, uporczywie wpatrzony w Barazę, myślał na pewno o swym synu — tym wątłym, jasnowłosym Albinie, zabitym w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym pod Uściugiem. Myślał, że teraz miałby prawie tyle lat, co on, że tak samo upierałby się przy swoim, mówiąc, tak samo ściągał mięśnie warg i pokazywał mocne, twarde zęby.

Od lat dziewiętnastu leżał pod ziemią, bez trumny, w niewiadomym miejscu, pochowany może nawet w grobie wspólnym. Zapewne rozciekł się już, rozpadł i „rozproszył w przyrodzie”. Jedynie jeszcze kości jego — takie same, jak tego stojącego tu przed nim człowieka — tylko obnażone z ciała, pozbawione spojeń i rdzenia, — zachowały pod ziemią swój dawny układ, jego pusta czaszka jest jeszcze w pewnym sensie czaszką ludzką.

Ale nie wiadomo, gdzie jest, nie wiadomo, kto go grzebał, nie wie można się było dowiedzieć od tych ludzi, którzy oddali mu portfel z małymi pieniędzmi i listem od jakiejś dziewczyny, podpisanej „Norcia”. Oddali mu też — nieco później — kartkę, znalezione przy umarłym.

Dawne fotografie syna nie odpowiadały żadnemu stanowi rzeczy. Ani temu, jak teraz wyglądał naprawdę, ani jak byłby wyglądał, gdyby żył. Na wojnę poszedł z siódmej klasy jako młody, chudy wyrostek. Dziś miałby lat trzydzieści sześć i trzy miesiące. To było trudne do uwierzenia, Działwa nie umiał go sobie wyobrazić. I poszukiwał jego możliwości, jego najbardziej prawdopodobnej postaci, uczepiając ją do osób ludzi żywych, pobliskich wiekiem. Byłby może nieco młodszy od Baraza, ale od Dziunia Oxeńskiego starszy. I tak już na ten cały wiecór zawiął mu między tymi dwoma, nabierając życia od ich postaci i twarzy, od ich ruchów, ich spojrzeń i słów.

Agata słyszała, jak Baraz wylizywał teraz dochody ludzi, zebranych na tej sali, ludzi przedtem skromnych i ubogich. A wszystko działo się pod znakiem oszczędności — reforma szkolnictwa, utraciona ustawa biblioteczna. Miał nawet coś do powiedzenia o powrotnym analfabetyzmie, o nędzy wsi i bezrobociu. Cały, obcy świat spoza ścian tej sali wnikał na to miejsce, świat znany Agacie, co dnia w buntach i gniewie przywódczyni do ich domu przez Sonkę.

Działwa był oporny i niechętny. Raz po raz przerywał Barazowi i po swojemu przędził.

— I po co pan mówi to wszystko? Czy ja jestem temu winien?

— Mówię, bo tak myślę, — odrzekł tamten, nieco urażony. Ale jego grube, twarde wargi ułożyły się do uśmiechu.

— Zupełnie pan na to nie wygląda. Przeciwnie. Podejrzywam nawet, że i pan nieźle mieszka, że i pan nieraz był nad morzem.

— Nie o to chodzi...

— Wygląda pan raczej, jakby pan się przed tym bronil. Bo i pan jest już wciągnięty, niech się pan przyzna. Dał się pan już trochę okrzesać.

— Ale ja sobie zdaję sprawę.

— To cóż. Peroruje pan wprawdzie jak Skarga. A ja zarcęcam, że spotkało pana tu właśnie coś przyjemnego. I to pana gryzie.

— Coś przyjemnego? — zwolna powtórzył Baraz. I wyraźnie się zaczerwienił.

— No co, nieprawda?

— Może, — ustąpił Baraz. I głośno się roześmiał. — Właśnie tu wszystko jest takie ułatwione, tu wszystko samo idzie do rąk. Czy można się dziwić?

— No to co się pan martwi tymi towarzyszami? Nigdy tak naprawdę nimi nie byli. Zawsze szło im bardziej o coś innego, niż o ten tak zwany lud roboczy. Pan tego nie pamięta, teraz już się zrobiła naokoło tego legenda. Ale tym trudno się gorszyć. Ludzie są tacy, jak miejsce, w którym się znaleźli. Ludzie wypełniają sobą gotowe formy. Są urobieni raczej przez rolę, którą wzięli na siebie, niż odwrotnie. I dlatego tak trudno jest uwierzyć...

Urwał i zasepił się. Pomyślał znów o tej kartce. Pisał: „Ściemnia się już i robi się zimno”. Pisał: „Kochany ojciec...”. Pisał to w zimny zmierzch, przed nadchodzącą nocą, że umiera tak, jak chciał umrzeć, i że go przeprosza za „wyrządzony smutek”. Czy można mówić: „wyrządzony smutek”? Smutek się sprawia, a wyrządza się tylko krzywdę. Kartka powalana była krwią, która zmieniła kolor, przestała być czerwona. U dołu kartki, ukośnie, napisane było: „verte” i prośba na odwrocie, że chciałby być pochowany nie w polu, tylko w Warszawie, na Powązkowskim cmentarzu. Zależało mu widać na tym istotnie, jeżeli napisał to **verte** i jeszcze umieścił przy nim wykrzyknik. Bał się, że mogą zaniechać przeczytania wszystkiego do końca. Kartka powalana była krwią, którą uchodził, ranny w nogę. Miał go zabrać ze sobą, ale oparł się temu, wiedząc, że im utrudni ucieczkę. Odszukał go we dwa dni później martwego. Nie wiadomo, ile godzin konał. Miał przy sobie rozdarty opatrunek, widać jednak nie starczyło mu siły, by go nałożyć. Gdy Działwę doszły te papiery, Albin od dawna był pogrzebany i nie dało się w żaden sposób sprawdzić, gdzie.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

* Ciąg dalszy. Por. nr 13, 14, 15, 16, 17, 18 i 19 „Odrodzenia”.

JULIAN KRZYŻANOWSKI

Nauka w Warszawie

I
Karta dziejów Warszawy z datą 1 sierpnia 1944 odwróciła się z szelestem tak przejmującym, iż zgłuszyć go nie zdołały ani detonacje bomb, „krów“ i granatów, walących w stolicę przez tyle beznadziejnie długich tygodni jesiennych, ani huk min, rozsadzających resztki skruszonych murów. Coś bezpowrotnie zapadło w przeszłość, bezpowrotnie i całkowicie, tak, że o Warszawie przedsierpniowej mówić już dzisiaj można, jako o czymś czego nie ma, o czymś, co należy do historii i co w swej poprzedniej postaci nie wróci już do życia. Można — co więcej: trzeba! Bo gdy Warszawa odrodzi się inna, jej jutro z konieczności nawiąże do minionego wczoraj, historia bowiem nie zna śmierci absolutnej, jak nie zna jej przyroda, rodząca zbroja dla nowych pokoleń na polach, użyzionych trupami bojowników. Bo w odbudowanej Warszawie pozostaną zarzysy dawnych ulic o kierunkach, wyznaczonych przez naturalny bieg Wisły, bo nad pradawną rzeką wyrosną znów mury zamku o średniowiecznych fundamentach, bo z gruzów powstanie malownicza „Starówka“. Nic wymowniejszego nad fakt, że konieczności te uznali za słuszne bezstronnie architekci radziecy w debatach nad odbudową. BOS, Biuro Odbudowy Stolicy rozpoczyna już prace przygotowawcze, a wierzę głęboko, że te, raz wszczęte, mimo wszelkich trudności pójdą naprzód.

Odbudowa Warszawy nie może jednak polegać tylko na wznoszeniu nowych murów w miejscu, gdzie dawne runęły pod pociskami uzbrojonych w udoskonalone narzędzia zniszczenia oprawców niemieckich. Odbudowa musi objąć znacznie więcej, bo wysocze zawiła sprawa kultury duchowej, którą Warszawa promieniowała w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Obok BOSu powinien powstać jakiś KOS, Kulturalna Odbudowa Stolicy, organizacja, która miałaby zadanie nie mniej doniosłe, aniżeli jej siostrzyca techniczna. I aż dziś bierze, że sprawom tym, tak niesłychanie doniosłym dla każdego, kto myśli kategoriami życia zbiorowego, nie poświęca się należnego miejsca w prasie dzisiejszej. Wszczyniam nad nimi dyskusję przekonany, że podejmą ją inni, by wysławić, jakie składniki życia Warszawy przedsierpniowej w dziedzinie sztuki, literatury, teatru, prasy zachowały swą siłę i będą mogły wejść w skład życia stolicy odbudowanej, jutrzejszej, co więcej, już w procesie odbudowy technicznej będą mogły oddziaływać na korzystnie. Rozważania te powinny mieć charakter taki, jaki ma praca architekta-urbanisty, pochylonego nad dawnym planem miasta, by zorientować się w naturze czynników, które o jego wroście zadecydowały, które wyeliminować się nie dadzą i które, należycie poznane i wyzyskane, sprawę odbudowy ułatwią i przyspieszą mogą. Sam wybieram dziedzinę nauki w Warszawie, bo z zagadnieniami tymi stykałem się bezpośrednio i zawodowo, jeśli zaś w mej relacji o ośrodkach życia naukowego w stolicy przed sierpieniem odzywać się będą akcenty osobiste, to rzecz zrozumiała u człowieka, któremu pamięć musi zastąpić dokumenty archiwalne.

II

Złotą jesienią r. 39 wlokło się piaszczystymi bezdrożami podlaskimi w kierunku na Lublin kilku wymierzonych uczonych polskich. Był wśród nich znany z genialnej intuicji książkoznawczej bibliograf, docent K. Piekarski, zmarły przed rokiem; był pogodny zoolog, profesor Waclaw Roszkowski, zmarły po powstaniu od rany zadanej niemieckim granatem ręcznym w czasie dyżuru na schodach; był wywieziony później do obozu doskonały specjalista od szyfrów, i był doskonały organizator oświaty szkolnej i pozaszkolnej, St. Dobrowolski. I jeszcze ktoś, kto obserwując gromadkę niedobrowolnych włościan, nie mógł oprzeć się natrętnemu przypomnieniu słów Żeromskiego „... o śmieszna nędza polska...“ Była to jednak tylko przegrzywka do pośnepnego widowiska, które oczom wędrowców odsłoniło się w miesiąc później, gdy osobliwym trafem znaleźli się znów w Warszawie. Grono przyjaciół i znajomych, którzy pozostali w stolicy, przerzedziło się znacznie a lista strat jęła szybko narastać w sposób zastraszający. W czasie oblężenia zginęli: prawnik K. Lutoński, histolog Konopacki, sławista J. Gołąbek. Bieda i choroby skróciły życie tym, którzy cało wyszli z oblężenia. Starzy i młodzi, matematyk S. Dickstein, socjolog L. Kulczycki, chirurg Radliński, konstruktor mostów Pszenicki, prawnik Wasiutyński, sanskrytolog St. Schayer i wielu, wielu innych znalazło spokój na zacisznych Powązkach. Jeszcze inni, jak prawnik R. Rybarski, biolog Kopeć, bizantysta K. Zakrzewski, teolog E. Bursche, germanista Z. Łempicki zginęli zamordowani w więzieniach i obozach, gdzie dotąd zapewne przebywa jeszcze kilkunastu profesorów uniwersytetu i politechniki, a skąd udało się ocalać jednemu tylko, historykowi St. Kętrzyńskiemu. Z dnia na dzień topnieją szeregi ludzi nauki dziwnie smętnie wyglądały na tle gruzów instytucji naukowych zniszczonych w czasie oblężenia wrześniowego i systematycznie niszczonego w czasie beznadziejnie długiej,

pięcioletniej okupacji. Uniwersytet, z dawną „Szkolą rycerską“ na miejscu pierwszym, całe skrzydła zakładów politechniki, Wolna Wszechnica, Instytut Orientalistyczny — zmieniły się w szkielety przepalonych murów. A to samo stało się z bibliotekami Zamojskich, z której ocalał jeden jedyny pawilon, i Przędzieckich, w której cudem uszedł zagłady, znaleziony wśród cegieł rękopis „Grażyny“. tego namiętnego protestu przeciw polityce „krzyżackiego gadu“. W rumowisko zamieniła się biblioteka Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, po kilku dopiero miesiącach odgrzebana w połowie wraz z resztkami książek „Instytutu Francuskiego“. Dzieła zniszczenia dokonywało „zabezpieczanie“ zakładów naukowych polegające na opieczętowaniu ich i nieraz wykradaniu i wywozieniu zbiorów, które przypadły do smaku złodziejom naukowym przystrojonym w mundur SS. W ten sposób „zabezpieczono“ i ostatecznie zniszczono Zakład Fizyki, stworzony i urządzony przez Stefana Pieńkowskiego, zakład, któremu niewiele równych by można znaleźć w Europie, zakład, który prowadził przesubtelne badania atomowe oraz badania w dziedzinie fizyki jądra atomowego, rewolucjonizującej nasze podstawowe pojęcia o świecie materii, zakład, w którym potrafiono wytwarzać nowe atomy materii. W ten sposób postąpiono z zakładem światowej sławy matematyka Waclawa Sierpińskiego. Niewiele lepszy los spotkał „Gabinet Filologiczny Korbuta“, największa w Polsce i jedyna w swoim rodzaju pracownia naukowo-literacką.

Dokładne zestawienie tych strat pozwoliłoby dopiero zdać sobie sprawę, choćby w ogólnym szkicu, jak bogato i bujnie rozrastało się i kwitło życie Warszawy międzywojennej, sprawiające, iż była ona istotnie stolicą Polski nie tylko w sensie geopolitycznym. Wówczas młoda i tryskająca energią stolica stała się wówczas naturalnym, choć nienaturalnie łączymy ośrodkiem intensywnego życia naukowego, przyciągającym pracowników z Krakowa, Lwowa, Wilna, Poznania, Łodzi, jak przyciągała pisarzy, aktorów, dziennikarzy. Jej szkoły wyższe, obsadzone przez ludzi z całej Polski, jej instytucje naukowe, jak Badawczy Instytut Chemiczny, Państwowe Instytuty: Geologiczny, Higieny, Meteorologiczny, Państwowe Muzeum Zoologiczne, jej firmy wydawnicze, jak choćby Kasa Mianowskiego, jak Trzaska, Evert i Michalski, Arcet, Przeworski, nawet Gebethner, wykazały aż nadmiar inicjatywy w wyławianiu prac naukowych, zarówno przyrodniczych jak humanistycznych, ustanawiając tempo, za którym z trudem nadążały lwowskie Ossolineum i krakowska Polska Akademia Umiejętności. Uczony z prowincji, nie mogący doczekać się druku w instytucji społecznej czy w firmie prywatnej, w Warszawie zawsze znajdował nabywców wyników swej pracy — i nic bardziej znamienitego, jak powstawanie w stolicy właśnie takich czy innych wydawnictw, podejmowanych przez ludzi, którzy na prowincji mieli — zdawałoby się — najłatwiejszy dostęp do instytucji miejscowych. Fakty? — w razie potrzeby synąć można sporą ich garścią. Jeden może warto jednak przytoczyć dla jego paradoksalności. Oto z lekkiej ręki prof. Kleinera co roku zjawiało się u mnie po dwu, trzech polonistów lwowskich, pochodzenia żydowskiego, którzy z jakichś tam względów woleli porzucić uczelnię macierzystą. I rzecz zabawna — pod moją ręką, niemal przysłówiowo nielekka, na uniwersytecie, słynnym z ekscesów antysemickich i awantur, których opanować nie umiano, emigranci lwowscy, przez nikogo nienapostawiani, uzyskiwali dyplomy, jak otrzymywali je wszyscy inni studenci, bez względu na swe przekonania polityczne czy przynależność narodową. Nauce bowiem warszawskiej obcy był partykularizm, nie uznawała ona zaściankowości, miała charakter nauki w stolicy.

I to wszystko, cały ten ogrom energii i inicjatywy, dobrej woli i rzetelnej pracy, legło pod gruzami miasta, zniszczonego przez barbarzyńcę, który spod maski rzekomego obrońcy kultury zachodniej raz po raz rzucał charkliwe hasło „nie ma już kultury polskiej“. Ale grzyzy te pokryły jedynie powierzchnię zduszonego życia, pod spodem było całkiem inaczej.

III

Wśród naukowców warszawskich znalazło się kilku, kilkunastu, kilkadziesiąt ludzi, którzy nie dali za wygraną, którzy ani na chwilę nie przerwali swej pracy zawodowej w dziedzinie zarówno tworzenia nauki, jak strony jej społecznej, nauczania. Ludzie ci jak psy warowali na progę „zabezpieczanych“ zakładów, bronili ich jak mogli, a gdy nic innego nie pozostawało, z narażeniem życia wyznosili co się dało i kryli gdzie i jak się dało. Mieszkania ich były zwałone stosami książek zakładowych, przechowywanych mimo że zażądano od nich pisemnego oświadczenia, iż własności państwowej nie przechowują. W mieszkaniach tych nadto przewijały się nieduże grupy studentów, na razie dawnych słuchaczy, kontynuujących pracę przedwojenną, zdających niepoddawane egzaminy, czę-

sto otrzymujących magisteria. Nikt nie uważał sobie tego za zasługę, traktowano to jako pospolite spełnianie codziennego obowiązku. Tak robił na humanistyce St. Kętrzyński, tak Wł. Tatkiewicz, Waclaw Borowy, St. Poniatowski, tak piszący te słowa, i dziesiątki innych. Rekord jednak osiągnął dziekan wydziału prawnego. W przeciwieństwie do innych nie zawiesił on swej działalności i z twarzą, góralską konsekwencją, walcząc z brakiem i profesorów i książek, doprowadził do tego, że latem r. 1944 na uniwersytecie warszawskim studiowało 500 młodych prawników. Nie mam danych dotyczących innych wydziałów, wiem tylko, że podziemna medycyna była jeszcze liczniejsza a przyroda niemal równie liczna. Ogółem biorąc szkolnictwo wyższe Warszawy podziemnej sięgało w r. 1944 liczby ponad 4500 słuchaczy. Jakie znaczenie zaś miał fakt, iż do pracy tej ruszono łągą już w r. 1940, widać z okoliczności, że przykład oddziaływało na inne uczelnie, począwszy od U. Z. Z., tj. Uniwersytetu Ziemi Zachodnich, zorganizowanego przez rzuconych na bruk warszawski nieugiętych Poznanianów, pracujących przy pomocy sił warszawskich.

Jak szła cała ta przeosobliwa robota, zilustrować mogę szczegółami z „własnego podwórka“, z humanistyki, zwłaszcza zaś z polonistyki. Z rozmaitych powodów całej humanistyki uruchomić się nie dało, obejmowała ona bowiem tylko studia polonistyczne, historyczne, filozoficzne, pedagogiczne i slawistyczne, zorganizowane programowo, pracowała jednak systematycznie i bez przerw od jesieni r. 1940 a więc przez całe czterolecie, polonistyką nawet przez lat pięć. Zdarzały się wprawdzie luki tygodniowe lub nawet dwutygodniowe, wywołane przez konieczność zmiany poszlak. Ten czy ów wykładowca ostrzeżony „grypsem“, iż mówi się o nim zbyt dużo na Pawiaku czy w innej równie znacznej instytucji, zmykał na tydzień do przyjaciół pod miasto, po tygodniu jednak wracał, przez miesiąc lub dłużej ostrożnie nocował nie u siebie, ale zajęć nie przerywał, bo gromadka słuchaczy, z roku na rok przekształcająca się w gromadę, czekała i chciała pracować. Ilez to razy w toku wykładu wpadała kłacz z wiadomością, że w domu sąsiednim, czy tym samym, czy na ulicy rewizja lub obława. Kilkaście minut przykrego wyczekiwania — i praca toczyła się dalej. Gdy w pierwszym roku miałem niespełna dziesięciu wolontariuszy, w drugim było już dwadzieścia osób przeważnie świeżych maturzystów, w trzecim pięćdziesiąt, w czwartym około setki, w piątym studium polonistyczne liczyło 185 studentów i studentek. By zadaniem, które praca stawiała, poddać, wypadło zmobilizować cały sztab wykładowców, profesorów, docentów i asystentów, co osobliwsza, gdy znalezienie lokali dla kompletów dziesięciopięcioletnich poczęła nastrożać trudności nie do pokonania, i na to znalazła się rada. Przeważający dyrektor Tynelski odstąpił polonistyce część gimnazjum na Świętokrzyskiej, tuż przy PKO, i tam każdego popołudnia wrzalo jak w ulu, jedne grupy wchodziły, inne wychodziły, sale widne, nawet ciepłe, tablice, ławki — słowem, gdyby nie ustawiczne napięcie i pamięć o tym, co i jak mówić na wypadek pojawienia się nieproszonych gości, można było oddychać atmosferą pracy uniwersyteckiej. Oddychała nią istotnie młodzież, obowiązkowa i inteligentna, (wśród której większość poetów najmłodziej Warszawy), przedkładała prace seminaryjne, z których niejedna mogłaby pojawić się w druku, dyskutująca, skłonna do urządzania poranków literackich, organizująca Bratnią Pomoc, młodzież, jakiej nie spotkałem na żadnym z tych wszystkich uniwersytetów, w których wypadło mi kiedykolwiek pracować. Dzięki odpowiedniej polityce finansowej, zaśsiłkom społeczeństwa, zwłaszcza kupiectwa warszawskiego, no i hojnej pomocy od bogatego wydziału prawnego, znaczny odsetek studentów korzystał ze stypendiów (połowa roku czwartego, jedna czwarta trzeciego) i ulg w opłatach, znacznie niższych niż w szkołach średnich, a przecież umożliwiających egzystencję uczącym. Samo studium zorganizowane było tak, by w obrębie trzech lat student mógł uzyskać magisterium, obejmowało tedy wszelkie nieodzowne dziedziny wykształcenia naukowo-literackiego z pominięciem jałowych przeżytków, starocerkiewszczyzny i greczyzny. Podobnie zorganizowałem slawistykę, pojętą jako zespół nauk o kulturze ludów słowiańskich a nie jako specjalizację w gramatyce języków słowiańskich, jak to się nieraz praktykuje, nawet i u nas.

Przy całej swej intensywności nauczanie nie pochłaniało całej energii naukowców warszawskich. Świadczyły o tym zebrania Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa im. Mickiewicza, Towarzystwa Filozoficznego, Towarzystwa Historycznego, skupiające i tych, którzy pracowali w szkołach podziemnych, i tych, którzy się od nich z rozmaitych, nieraz uzasadnionych względów uchylali. Zebrań tych wspomnieć warto uruchomione po długich zabiegach przedsięwzięcia wydziału hu-

manistycznego uniwersytetu. Od końca zimy przez całą wiosnę r. 44 debatowano tu, jakie należały formy życia uniwersyteckiego na przyszłość, by uniknąć błędów przeszłości, jak zorganizować studia trzyletnie i udostępnić je ogółowi, jak przekształcić studia dotychczasowe, by w przeciągu trzech lub pięciu lat powojennych uzyskać konieczną dla państwa armię nauczycieli dla szkół powszechnych i średnich, a wreszcie: gdzie prace te odbywać wobec zniszczenia większości budynków. Wśród projektów nie brakło nawet pomysłu uniwersytetu w barakach na lata odbudowy, tak, jak się ją sobie ubiegłej jeszcze wiosny wyobrażało.

Debata te, wyzyskujące doświadczone głowy kolegów z innych ośrodków uniwersyteckich, z którymi udało się nawiązać kontakt, wiodły do szkieletowania dokładnych przemysłowych programów i do projektów nowelizacji ustawy uniwersyteckiej.

Nie poprzestawano na samych programach. Zdając sobie doskonale sprawę z trudności książkowych, wywołanych przez systematyczne tępienie książki polskiej, przystąpiono do przygotowania podręczników uniwersyteckich. O intensywności pracy w tym zakresie mówią znane mi przypadkiem cyfry. Warszawa miała w robocie 280 podręczników, w czym dzielnie sekundował jej Kraków, przygotowując ich 80.

Tak oto, w zarysie najogólniejszym i bardzo niedokładnym ujęte, przedstawiało się życie naukowe Warszawy podziemnej, zwarte, skupione w sobie, i dzięki temu właśnie odporne na wszelkie próby współpracy z najeżdżcą.

IV.

Położyła mu kres potworna katastrofa powstańcza. Lista jej ołtar w dziedzinie nauki wygląda wręcz tragicznie. Od bomb zginęli bohaterski medyk, Edward Loth, bakteriolog Słonimski, w szpitalu na Woli zamordowany został anatom Grzybowski, w piwnicy własnego domu zaprzysiężył wróg niemieczyzny, Stanisław Sawicki, skandynawista. W moich oczach paść wyczerpany pochodem, pod murem Ogrodu Saskiego, historyk sztuki, łagodny zawsze i niezmiernie dobrotliwy Zygmunt Batowski. Brutalna pięść żołdacka wpełznąła do szeregu żonę, gdy usiłowała nieść konającemu ratunek. W pół godziny później zginął wraz z żoną nieustraszonego geograf, Stanisław Leniewicz. Z młodych mych współpracowników wojennych zginęli nieodżałowany Tadeusz Wiatowski, historyk literatury, Henryk Friedrich, językoznawca, Stanisław Milbrand, filozof. I wielu, wielu innych, których szczegółów śmierci dotąd ustalić niepodobna, a z których ci i owi wrócić może jeszcze z obozów jenieckich i karnych. Do tego dodać trzeba hekatomba bohaterskiej młodzieży, przede wszystkim wspomnianych młodych poetów z Gajcym-Topornickim na pierwszym miejscu.

A stratom w ludziach towarzyszyły inne, mniejsze, a przecież niemniej dotkliwe. Cały dorobek wnikliwej myśli filozoficznej T. Kotarbińskiego poszedł z dymem. Czerdzieści prac matematycznych W. Sierpińskiego i piętnaście fizycznych St. Pieńkowskiego spotkał los podobny. Arcydzieło precyzji edytorskiej, tom liryków Mickiewicza przygotowany do druku przez W. Borowego oraz ogromne zbiory materiałów do dziejów stosunków literackich polsko-angielskich „diabli wzięli“, jak lakonicznie doniósł mi pokrzywdzony przez losy pisarz. To samo rzeć by można o mojej kartotece, zawierającej kilkadziesiąt tysięcy notatek z zakresu naszej i obcej prozy ludowej, zbiorze jedynym w Polsce, a znanym i poza jej granicami. Wraz z nią spłonął pierwszy u nas „Słownik literacki“, nie mówiąc już o dwu bibliotekach, z których pierwsza padła ofiarą ognia w sierpniu r. 1939, druga zaś, wraz z zbiorami L. Piwińskiego, w czasie katastrofy wrześniowej. Straty te, jakkolwiek niepewne — stworzenie bowiem rzeczy zniszczonych każdemu z nas zajęło lat kilkanaście systematycznej pracy — są niczym w porównaniu ze zniszczeniem zbiorów publicznych, gromadzących rezultaty pracy kulturalnej całych pokoleń. Archiwa, reszta Biblioteki Zamojskich, cymelia Biblioteki Narodowej, stare druki i rękopisy, beznadziejnie skupione w Bibliotece Krajskiej, a z łańdzką premedytacją wypalone już po stłumieniu powstania na Okólniku — oto niezaczarna część strat w mieniu kulturalnym całego narodu. To, co uszło zagłady, większość zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej i nowsze działy w Narodowej, stanowi nikiłą zaledwie część tego, co w Warszawie było jeszcze w połowie pośnepnego lata 1944. Przebolesna ironia losów sprawiła, że raz jeszcze sprawdziły się pełne gorczy słowa wielkiego ironisty, wywołane przez powstanie styczniowe:

Ideał sięgnął bruku...

V.

A sens moralny tej żalobnej powieści, której grozie sprostać by mogło tylko pióro Żeromskiego? Dla mnie jest on zupełnie jasny i bardzo odległy od norwidowej lamentacji. Kultura duchowa urabia pewien typ człowieka, ale równocześnie kultura ta jest dziełem myśli ludzkiej i ręki ludzkiej. Jaki typ człowieka ujawnił się w nauce warszawskiej w przeciągu pięciu lat, poprzedzających zniszczenie stolicy, starałem się ukazać w rozważaniach dotychczasowych. Typ obserwowany oczyma nie tworcy pięknej legendy, lecz z uporem socjologa kultury, zainteresowanego teoretycznie i praktycznie jej przejawami. Jest

to typ człowieka myślącego kategoriami społecznymi, pracującego w niesłychanie trudnych warunkach dla jutra, typ tak popospolity, nagminny, że górował on zdecydowanie nad rzadkimi i odosobnionymi okazami tchórzostwa, wygodnego sobkostwa, czy wprost braku kręgosłupa moralnego. Typ, w którym duch Warszawy wyrażał się w jednej ze swych postaci najcenniejszych i który stanowi rękomię kulturalnej odbudowy stolicy. Typ nacechowany męstwem cywilnym, wedle mego najgłębszego przekonania nieustępującym męstwu wojskowemu.

A jego losy dzisiaj? O śmieszna nędza polska, myślę zawsze, ilekroć spotkam znakomitego matematyka, poważnie krokącego w butach pożyczonych wprawdzie, ale mimo to dziurawych. Gdy od zahukanego etnografa dowiem się, że nie doczekał się, by go aresztowano, a noc przesłał w załomku muru na rzadkim i zimnym błotku krakowskim. Gdy słucham beznadziejnych skarg ludzi, nie mających trzech złotych na zakupienie głodowej zupy. A przecież ogromna większość tych ludzi, to jedyni i niezastąpieni fachowcy, którzy będą potrzebni już jutro, którzy są potrzebni już dzisiaj. Otrzymali wprawdzie pomoc rządową, taką samą jak ich koledzy z innych, przez wojnę oszczędzonych ośrodków naukowych. Gdy jednak owym wybrancom losu, posiadającym własne mieszkania, jakieś niedobitki odzienia, jakieś zasoby spiżarniane, pomoc nie wystarczyła, czymżeż jest ona dla ludzi, którzy wyszli z Warszawy w jednej białej, i jedynym, nieraz bardzo lekkim ubranku? Realna forma pomocy jest tu, jak sędzę, jedna tylko: powrót do własnego gniazda naukowego. A jak długo to będzie niewykonalne, stworzenie gniazda zastępczego. Już w końcu stycznia interpelowałem w tej sprawie Ministra Oświaty i dowiedziałem się, że nie ustalona jest jeszcze przyszła stolica państwa. W ciągu kilku tygodni sprawa ta wyjaśniła się. Będzie nią Warszawa. Co więcej, szlachetny gest Naczelnego Dowódcy, który Uniwersytetowi Warszawskiemu oddał gmach, do niedawna fortecę żołdaków najeżdżących, dowodzi, że pierwsze kroki ku odbudowie doniosłego ośrodka pracy kulturalnej już zrobiono. Czy jednak nie byłyby wskazane, a raczej konieczne, kroki dalsze? Wszak w okolicach podwarszawskich można skupić rozproszonych i głodujących na prowincji uczonych, albo szkoły wyższe stolicy można tymczasowo umieścić gdzieindziej, w Płocku, Toruniu, Gdańsku, by się tam zorganizowały, rozpoczęły pracę i w odpowiednim momencie wróciły do odbudowanej stolicy. Co większa, w samej Warszawie są pewne gmachy uniwersyteckie, które wymagają jedynie „lekkiego zabiegu kosmetycznego“, by w nich zacząć pracować. Przecież każdy tydzień bolesnej diaspory przynosi państwu milionowe straty. Przecież tysiące młodzieży tułają się i czekają nauki, tej młodzieży, która dziś, jutro i pojutrze będzie nieodzowna w handlu i przemysłu, w szkołach i biurach. Bez armii przygotowanych zawodowo pracowników życie zamrze w uścisku tej potwornej mazi, w której dusimy się obecnie. Przetrzebiony i rozproszony świat nauki warszawskiej czeka na pracę i daje wszelkie rękojmie, że jej podoła, i że przez nią stanie się budowniczym szczęśliwszego jutra.

Sam wierzę głęboko, że jutro tego doczeka i to doczeka czynnie, w twórczej pracy, nie w biernym bezczynnie. Wierzę, bo widziałem coś, czego nie zapomnę do końca życia. Gdy nas grano w dniu 1 września ze Starego Miasta do Pruszkowa, sianająca się gromada stu ludzi, pięta się mozolnie jakżeś strumą ulicą Bednarską. W pewnej chwili ujrzałem, jak popielaty ze znużenia Tadeusz Kotarbiński, jeden z tych rzadkich chrześcijan, których nie znają kościoły urzędowe, niósł na plecach półżywą staruszczkę, sparaliżowaną matkę jednego z kolegów. Byli wśród nas młodszy i silniejszy — żałostna mumijska niósł jednak na pochylonym grzbiecie wąty Kotarbiński. Ten sam Kotarbiński, który lipiec przed powstaniem spędził w ukryciu, zagrożony przez domorosłych zbrodniarzy, zatrutych wyzwianiami „kultury niemieckiej“, — a który później, wyrzucony na głuchą prowincję, „zarabiał filozoficznie i uczciwie“, byle przetrwać i pozostać wiernym pracy uprawianej przez lata. To jest przedstawiciel typu, o którym mówiłem poprzednio, wyprodukowanego przez kulturę duchową stolicy, typu, który znamienny był w ogóle dla nauki polskiej i tak wspaniale ujawnił się w postaciach męczenników oranienburskich, profesorów Wszechnicy podwawelskiej, Kazimierza Kostaneckiego i Michała Siedleckiego. Jego górująca rola w życiu naukowej Warszawy daje, raz jeszcze powtarzam, wszelkie gwarancje, że jednostki doń należące, uchronione od zmnarowania w warunkach chwili obecnej, podejmą i przeprowadzą dzieło odbudowy kultury Warszawy.

Julian Krzyżanowski

MARCELINA GRABOWSKA

Dlaczego wybuchło powstanie warszawskie?*

Niezbite dowody, że powstanie warszawskie wybuchło na rozkaz i w interesie sanacji, nie tłumaczą bynajmniej faktu, że rozkaz doznał posłuchu, a akcja powszechnego poparcia. Nie wystarczy bynajmniej fakt, że sanacja opanowała aparat konspiracyjny; istniały przecie formacje i organizacje, dalekie od wpływu sanacyjnych, które — zaskoczona wybuchem, w najgorszych dla siebie okolicznościach — stanęły jednak do apelu. Jest to problem wielce charakterystyczny dla rzeczywistości polskiej.

Sila sanacji — tak przed wojną, jak i podczas niej — tkwiła przede wszystkim w znajomości psychiki narodu. Znajomością tą sanacja umiała posługiwać się w dogodnym dla siebie momencie.

Zdobycie władzy zawdzięczała sanacja własnej aktywności, utrzymanie się przy niej stało się możliwe dzięki bierności narodu, brakowi politycznego wyrobienia i — co za tym idzie — łatwemu uleganiu mniej lub więcej umiejętnie propagandzie. Przedwojenna działalność sanacji szła konsekwentnie w kierunku pogłębienia w narodzie tych cech, tak dla niej dogodnych.

Aby się utrzymać na nurcie dążeń narodu, sanacja sięgnęła do dwóch najważniejszych źródeł: pieniędzy i propagandy.

Pieniądze czerpała z wielu źródeł; obsadzała „swoimi“ ludźmi intratne stanowiska w życiu podziemnym i społecznym, korzystała z poparcia sfer posiadających, zagrożonych przez jednoczącą się podczas wojny demokrację, poza tym uzyskała dostęp do pieniędzy, nadchodzących z Londynu. Niezależnie od tego dysponowała zasobami, pochodzącymi z własnej przemysłowości.

Szafaowała też nimi hojnie. Utworzyła dobre płatny aparat organizacyjny, bezideowy wprawdzie, ale związany z nią wspólnym interesem. Rozporządzała fachowym aparatem propagandowym, uzyskała wpływ na propagandę oficjalną. Zadanie ułatwił jej fakt, że szła po linii utworzonej już przed wojną, a więc do pewnego stopnia utrwalonej w polskiej umysłowości; inne organizacje podjęły się trudnego zadania urobienia nowych pojęć w narodzie.

W ten sposób w ciągu lat okupacji sanacja opanowała kierownicze stanowiska, aby w stosownym momencie odegrać decydującą rolę.

Poza umiejętną propagandą sanacja mogła liczyć na pozostałości szlachetczyzny: poczucie niższej wartości szerszych warstw społecznych wobec wojska. Konflikt między celami narodu, a interesem grupy wojskowej skończył się jej pyrrosowym zwycięstwem.

Jest jeszcze inna zasadnicza cecha charakteru polskiego: przesadna wrażliwość na hasło walki. Konieczności walki o niepodległość nie trzeba Polakowi przedstawiać, hasło to uderza w najczulszą strunę narodu i znajduje odgłos, wyłączający nawet możliwość jakiegokolwiek zastanowienia.

Na te właśnie cechy liczyła sanacja i nie zawiodła się. Spowodowała one uległość wobec rzuconego rozkazu do powstania w Warszawie, bez rozpatrzenia motywów rozkazu, bez badania jego źródła i szans.

Zastanowienie i otrzeźwienie przyszło potem. Wtedy, gdy powstanie coraz bardziej upodobniało się do akcji wrześnieowej i zdradzało przez to inicjatorów. Bałagan w akcji, nieprawdopodobne braki w zaopatrzeniu zbrojnym i sanitarnym, spychanie na „cywilów“ najcięższych obowiązków, w połączeniu z pogardliwym ich traktowaniem — budziły rozgorczenie i otwierały oczy, oślepięte zapalem. Gdzie się podziały — mówiono — pieniądze, zrzuły, nasze ofiary? Dlaczego wszystkiego tak straszliwie brak? Czy nie wyglądało to, jakby działali oszuści wrześnieowi?

Już w czasie powstania krytyka rosła, zaczęła dotyczyć jego źródeł. Mimo żełaznego ucisku cenzury, mimo terroru mnożyły się interpelacje. Aby nie dopuścić do odkrycia smutnej prawdy, zaczęto w prasie powstańczej

* Por. w nr 19 „Geneza powstania warszawskiego“.

przedstawiać „przyczyny“, dla których wybuchło powstanie. Warto je rozpatrzyć, aby dojść do przyczyn istotnej.

Przed wszystkim prasa oficjalna starała się wmówić mieszkańcom Warszawy, że powstanie miało na celu uratowanie stolicy przed zniszczeniem. Tłumaczenie to było straszliwą ironią wobec płonących domów, wobec rozwalanych pociskami bloków. Tak było na początku jeszcze w okresie pewnej przewagi polskiej stronie, kiedy polskie siły rosły w wyobraźni niemieckiej; wówczas małe oddziały niemieckie zbrojne tylko w broń ręczną mogły podpalać całe ulice, nie natrafiając na najmniejszy opór. Gdyby powstanie miało naprawdę na celu uratowanie Warszawy, zostawałyby przede wszystkim zorganizowana ochrona miasta, co na początku było rzeczą nie trudną, a miało też swoje znaczenie taktyczne.

Drugie tłumaczenie, że na wybuch powstania wpłynęła zbliżająca się ofensywa sowiecka, też nie wytrzymuje rzeczowej krytyki. Nawet laik zdawał sobie z tego sprawę, że ofensywa trwająca już od dłuższego czasu nie miała dość siły rozpędowej, aby się przerzucić za linię Wisły, zwłaszcza że Niemcy opanowali panikę. Należało też wziąć pod uwagę kwestię zaopatrzenia armii, podciągnięcia linii komunikacyjnych, których brak ograniczał możliwość zbyt długiego nasilenia ofensywnego. Poza tym nie bez znaczenia był fakt, że atak frontalny na Warszawę bez jednoczesnego ruchu oskrzydłującego był niemal niemożliwy.

Sprawa najistotniejszą było to, że dowództwo AK, które dało hasło do powstania, nie nawiązało kontaktu z dowództwem naczelnym Armii Czerwonej i dowództwem Pierwszej Armii Polskiej. Wojska polskie i radzieckie zbliżyły się do Warszawy, stały na jej przedpolu. W tym właśnie fakcie nienawiązania łączności kryje się tajemnica tego, że inicjatorami powstania kierowały pobudki ściśle polityczne: utrzymać się za wszelką cenę przy władzy, nawet wbrew oczywistości stworzyć fakty dokonane.

Czyżby wszystkie te zastrzeżenia, rozpatrywane podczas powstania przez osoby ze sprawami wojskowymi słabo obeznane były niedostępne fachowemu kierownictwu? Mało to prawdopodobne.

Koło politycznym zostało podane jako przyczyna powstania — wzmocnienie pozycji Mikołajczyka. Perfidia tego tłumaczenia uderza wobec wymowy faktów. Zgadza się bowiem bardziej z prawdą niż poprzednie. Zgadza się jednak tylko częściowo.

Gdyby bowiem inicjatorom rzeczywiście zależało na poparciu Mikołajczyka i wzmocnieniu jego stanowiska wobec rządu radzieckiego, byłiby się starali o wykazanie w powstaniu siły, która jest najpoważniejszym, realnym argumentem. Tymczasem przez brak porozumienia z szeregiem organizacji i przez działalność samowolną siły te zostały częściowo sparaliżowane i to sparaliżowane świadomie. Kiedy zaskoczona wybuchem organizacja chciała wejść do akcji, czyniono im duże trudności, pomimo że w wielu miejscach podporządkowały się komendzie AK, będąc odcięte od własnej komendy. (Oficerom AL polecano przeniesienie granatów bez osłony, a specjalistom od ckm kazano obierać ziemniaki). Wszystko to świadczy wyraźnie, że powstanie miało pokazać nie siły konspiracji, nie siły polskiego narodu, ale w myśl intencji jego organizatorów — siłę popleczników Sosnkowskiego. Mikołajczyk wchodził w grę nie jako przedstawiciel rządu, ale jako rzecznik sanacji. Taką też rolę odegrał.

To też jedynie tłumaczy całkowicie termin i formę wybuchu.

Nie można tego było podać do wiadomości ogółu zwłaszcza, że fiasko akcji powstańczej zarysowało się od razu. Liczne ośrodki oporu niemieckiego zagroździły ją w szeregu ważnych punktów, nieopanowanie mostów i uniwersytetu podcięło znaczenie strategiczne powstania. Świadomość, że walka toczy się nie o sprawę narodową, ale o postawę szlendaro-

wą sanacyjnej klikki byłaby podcięta i tak już słabe siły. A tak, czy owak powstanie było mimo wszystko porywem narodowym. Dlatego doznało poparcia ze strony wszystkich ugrupowań politycznych i wojskowych.

Ukrywana prawda nurtowała jednak społeczeństwo i spowodowała kontrakcję na terenach lepiej uświadomionych. Tak np. robotnicy elektrowni należący do AK zdobyli się na akt samodzielnego wyczerpania i planów sanacji. Ostabiony przez nieodpowiedni termin, brak porozumienia z Armią Czerwoną i wadliwe przygotowanie był jednak porywem narodu, kwintesencją jego bohaterskości.

Akcja czynna przeciw Niemcom zaczęła się na długo przed powstaniem z chwilą zarysowania się klęski niemieckiej. Warunki okupacji uniemożliwiły „stanie z bronią u nogi“. Terror niemiecki przyczynił się do nasilenia walki. Nie można było czekać na rozkaz „oficjalny“, kiedy zagrożenie uderzało bezpośrednio, a to stawało się z upływem lat wojny coraz częstsze. W Lubelszczyźnie, gdzie działał silny aktywny AL, oddziały AK przyłączały się do niego, naciskane przez groźną rzeczywistość. W samej Warszawie zdarzały się akty terroru wobec Niemców, przeprowadzane przez ludzi z AK wbrew instrukcjom. Coraz liczniejsze zresztą stawały się wypadki, gdzie władze AK zmuszone były do udzielenia aprobaty akcji, nie przez nie zainicjowanej.

Czynnej walce z Niemcami przewodziła Gwardia Ludowa, później Armia Ludowa. Fakt, że AK wbrew swoim zamierzeniom przejmowało niekiedy aktywną postawę AL, dowodzi, że bezwzględna walka z okupantem wypływała z życiowych konieczności narodu, z racji stanu Polski, gdy plany sanacji sprzeczne były z interesem narodowym.

Jeśli wbrew oczywistości AK utrzymywała zasadę stania z bronią u nogi, przyczyna tkwiła m. in. w tym, że uważano rozkaz walki zbrojnej za poważny instrument polityczny w stosunku do przeciwników politycznych. Zabezpieczano sobie możliwość wyboru dogodnego dla siebie momentu. Traktowano walkę z Niemcami jako jedną z gier politycznych. Fakt wystąpienia Warszawy miał być niejako otwarciem nowego okresu i zadecydować o pozycji „londyńczyków“ na arenie międzynarodowej. Rzeczywistość przekreśliła to rozumowanie przy zielonym stoliku.

Niezależnie od stanowiska sfer „londyńskich“ masę tęskniły za wystąpieniem. Domagały się tego nerwy, wyczerpane przydługim napięciem konspiracji. Domagała się tego rosnąca liczba ofiar, mnożone upokorzenia. Młodzież rwała się do walki, nie można jej było utrzymać. Chwyciwszy w ręce ładającą broń uciekała w lasy, urządzała na własną rękę napady na żołnierzy niemieckich, nieuległa w karby planowego czynu demoralizowała się w ekspanjach, anarchizowała życie podziemne. Mowa naturalnie tylko o młodzieży spod znaku AK.

Podniecenie doszło do szczytu, kiedy na ulicach Warszawy pojawiły się rozbite oddziały niemieckie, wlekli się obszarpani, upadający ze znużenia żołnierze i ukazywali oblicze klęski. Zbyt wielka rodziła się pokusa: uderzyć i zakończyć znienawidzone panowanie. Nać miastem kłężyły samoloty radzieckie, w nocy budziły syreny. Atmosfera coraz bardziej domagała się rozładowania.

W tę atmosferę padł rozkaz ostrego pogotowia. Słabe uzbrojenie, budziło duże zastrzeżenia, ale pewną nadzieję daje rozsiewana z dawna wiadomość o uruchomieniu dużych magazynów broni.

Przygotowany był grunt do przyjęcia rozkazu, do posłuszeństwa niepewnego na nic. W połączeniu z tęsknotą za wolnością, ze zmęczeniem konspiracyjnym, z wynikami reakcyjnej propagandy stan ten sprawił, iż rozkaz mimo że wyszedł ze strony do tego nieuprawnionej, wywołał natychmiastowy czyn. Sprawili, że do tego czynu przyłączyli się nawet ci, co znali tajemnicę rozkazu, zdawali sobie sprawę z niewłaściwości terminu, z niedostateczności przygotowania i z beznadziejności sytuacji.

Zmnarowanie aktywno powstańczego do walki o wolność i niepodległość kraju jest ciężką zbrodnią sanacji. Zbrodnia została popełniona rozmyślnie z braku poczucia odpowiedzialności, z liczenia na bezkarność. Doświadczony mimo obciążonego konta, po raz wtóry na wpływowe stanowiska, sanacja uwierzyła w niewzruszalność swojej pozycji. Dlatego rubryka jej musi raz wrzecznie zostać podsumowana taką karą, która by ostatecznie zamknęła nasze rozrachunki z warstwą w swojej zbrodniczej działalności tak bardzo zgnaną dla narodu.

JANINA BRZOSTOWSKA

Zwycięź!

Kładą się między nas drogi dalekie
ławice ludzkich ciał i dymy miast —
Dni z trudem przyjmują w siebie historii wezbraną rzekę,
wszystko jest prawdą wojny — człowiek zgasił.

Tu nieba jedwabna wstążka i ogród — jak wiesz — rozkwiła,
zieloność, błękit i złoto zgnajając w jeden blask.
Lecz ty nie jesteś ze mną i: czy cię kiedy powitał?
W szczęśliwym filmie wiosny zabrakło nas.

Lecz nie myśl o tym — raczej jak wytrwać i zwyciężyć,
aby móc tworzyć jutro — bo jemu my
NOWEGO DAMY CZŁOWIEKA, który się z prawdą sprzymierzy —
i nie zapomni, że o nią walczyliśmy, ja i ty!

Któż tak dziś cierpieć musi jak my, którzy kochamy,
komu tak grozi śmierć, jak nam —
Świat szczęścia — miłość: ginie, gdy oczy zamykamy,
i częśćka ludzkiej przyszłości, gdy ktoś z nas zostanie sam —

Więć zwycięż! O jasne słowo! O Nike w wieńcu gwiazd,
Tobie ustano pod nogi tyle młodości i męstwa —
Gdy z tego, którego kocham, zdejmiesz żołnierski pas
pozwól mu obsiać ziemię dojrzałym ziarnem zwycięstwa!

W poprzednim (19) numerze „Odrodzenia“ z dnia 8 kwietnia: Marcelina Grabowska: Geneza powstania warszawskiego. — Kazimierz Brandys: Rozsądek cywilny. — Zofia Nałkowska: Wezły życia (7). — Julian Przyboś: Z teorii i praktyki poetyckiej. — Jalu Kurek: Fragment z powieści „Janosik“. — Zygunt Fijas: Ziemia, załosa ziemia. — Józef Andrzej Frasik: Unoszone góra. — Kazimierz Wyka: Norwid nieobecny. — Jan Kott: Po prostu. W stronę klasyków. — Jerzy Andrzejewski: Uwagi i notatki. — W oczach pisarzy. Ankieta „Odrodzenia“. — Helena Boguszewska: Jak widzę rzeczywistość oczyma wywołonymi. — Jerzy Kornacki: Spółnota. — Ewa Szebelg Zarembina: Odpowiedź na ankieta. — (kb): Przegląd prasy. — Artur M. Świnarski: Perpetuum mobile. — Stanisław Dygat: Mieszaniny. — (aw): W teatrach paryskich. — Kalendarz kulturalny — 8 stron.

ROMAN PALESTER

Drogi muzyki polskiej

Znane i popularne są piękne słowa Norwida o muzyce Chopina, o owym „podnoszeniu ludzkiego do Ludzkości” i o przyszłym rozkwicie sztuki polskiej „od grobu Chopina”; słowa wypowiedziane przez człowieka, który — jeden z pierwszych — z właściwą sobie prekursorką przenikliwością rozumiał olbrzymie, daleko poza ściśle muzyczną wartość sięgające znaczenie twórczości Fryderyka. Wprawdzie monografisci, którzy do Chopina stosują jak najbardziej konkretny i formalny rysunek środków badawczych, podkreślają, że u podłoża tych słów norwidowskich leży mistyczny pogląd na rolę i znaczenie sztuki, ale uderzająca trafność odczucia oraz sformułowanie znaczenia i miejsca, jakie zajmuje muzyka mistrza w naszej kulturze, wyrobiła poglądowi Norwida popularność i obiegową wartość pewnika.

Tym niemniej wiele, bardzo wiele lat upłynęło od chwili, kiedy gasnący suchotnik stygnącą już niemal ręką szkicował ostatni mazurek, a w gruncie rzeczy sąd Norwida o owym rozwoju sztuki narodowej „od grobu Chopina” pozostał wizjonerskim proroctwem oczekującym spełnienia. Wszedł wprawdzie Chopin do panteonu naszych wielkości narodowych i stał się w tym panteonie pozycją tak mocną, trwałą i czcigodną, że utrudniło to nawet w pewnym stopniu bardziej fachowe i ściślejsze badania jego twórczości, ale kilka pokoleń polskich — właśnie od Norwida począwszy a na Przybyszewskim skończywszy — traktowało jego muzykę w pewnej mierze jako literaturę tworzoną w innym wymiarze i innymi środkami. Charakterystyczny brak ściśle muzycznego piśmiennictwa polskiego o Chopinie, naginanie się do celów powierzonego patriotyzmu wraz z zapoznaniem rewelacyjnych muzycznych wartości, które przecież powinny być bezcennym drogowskazem dla dalszego rozwoju muzyki polskiej — to wszystko razem uczyniło Chopina jednym z najpopularniejszych nazwisk w sztuce polskiej i wbrew pozorom oraz wbrew sądowi Norwida, jednym z bardziej odosobnionych, na uboczu od głównego nurtu kultury narodowej stojących, hermetycznych artystów. Gdy potężny wpływ Chopina na muzykę zachodnio-europejską, szczególnie w dziedzinie harmonii i formy muzycznej, rozpoczął się jeszcze za jego życia, gdy świat akordyki szopenowskiej modelował wagnerowskiego „Tristana”, w Polsce Chopin nie stworzył „szkoły”, nie znalazł następców bezpośrednich. Nie powstał nawet nasz własny styl interpretowania jego muzyki. Druga połowa zeszłego stulecia nie wykazuje, jeśli o muzykę polską chodzi, niemal żadnych wpływów genialnej muzyki Chopina.

Z tego punktu widzenia jest to smutny i ciemny okres w dziejach naszej muzyki — ta druga połowa XIX wieku. Ze śmiercią Fryderyka gaśnie ta olśniewająca swym geniuszem rakietą talentu, ten niespodziany wybuch wielkości w dźwiękach; muzyka polska przybiera oblicze, które jej nadaje pełna swolowego czaru sztuka Moniuszki. Ten kompozytor, który przy całym swym przebogatym talentem jest jednocześnie nieco spóźnionym wyrazicielem tęsknot i tendencji zaścianka szlacheckiego, znalazł w Polsce — choć nie zawsze uzdolnionych — następców, stworzył na pewien czas „szkołę”, trafił do tej jedynej warstwy społeczeństwa, która była wówczas konsumentem muzyki. W przeciwieństwie do Moniuszki, który wychował się w atmosferze dworskiego szlacheckiego a całe niemal swoje życie spędził wśród rodaków i krajobrazu polskiego, Chopin został od razu w pierwszej młodości wyrwany ze swego środowiska i rzucany w świat, w którym przylądając się musiał obcym dla siebie ruchom socjalnym i w którym nie mógł nie dostrzec rozwijających się nowych form życia. Nie mógł też, mimo pozornie zewnętrznej dezaprobaty, nie przejąć się niektórymi postępowymi tendencjami swej epoki, on, któremu nie kto inny jak Mickiewicz zwracał tak często uwagę na społeczne zagadnienia związane ze sztuką, a muzyką w szczególności. To też czasem nerwowa i subtelna, kiedyindziej męska i mocna muzyka Chopina, owiana niewątpliwie czymś nowym, przyniosła powiem nie emigracji lecz zachodu, a czasami — jak to trafnie zauważył Schumann — ukrywająca „armaty wśród kwiatów”, nie trafiła do przeciętnego słuchacza polskiego owych czasów, jak trafiła doń niedługo później „Śpiewniki” Moniuszki. Nie było w niej bowiem sielskości, nie mogła służyć ukolysaniu dusz w kwietystycznej dżemce; sięgała samych trzewiów swojej epoki i wystawiła tej epoce świadectwo prawdy.

*

Pustka pięćdziesięciu lat przegradza śmierć Chopina od chwili, w której w muzyce naszej znów daje się odczuć powiew nowości i świeżych sił twórczych. Tymczasem — co nie jest całkiem bez znaczenia — powstał i zdążył nawet nieco skostnieć wagnerowski dramat muzyczny, we Francji rozwinął się impresionizm, a w Rosji rozkwitła swoista, narodowa muzyka, która w niedługim czasie miała wpłynąć w ogromnej mierze na całą prawie mu-

zykę zachodnio-europejską. Zarówno u Wagnera, jak i u impresjonistów francuskich i „potężnej gromadki” rosyjskiej zapładniającej, kolosalny wpływ Chopina widoczny jest na każdym kroku. To też jednym z smutniejszych zjawisk w historii naszej kultury jest fakt, że na muzyce „Młodej Polski” wpływ Chopina odbił się dopiero drogą okólną; nawiązanie między Chopinem a Karłowiczem, wczesnym Szymanowskim czy Różyckim odbywa się korytem wagnerowsko-strausowskim, z którego nasi ówczesni młodzi czerpią obficie i szeroko. W tym stanie rzeczy rezultat nie mógł być równie szczęśliwy, jak we Francji lub Rosji.

Nawiązanie do Chopina, poddanie się jego wpływowi drogą okrężną dało w rezultacie sztukę heterogeniczną, której łączność i jednolitość stylistyczna z tradycją szopenowską stoi co najmniej pod wielkim znakiem zapytania. I nie mogło przecież być inaczej, skoro nasi młodzi kompozytorzy ówczesni w początkach swej działalności t. j. u świtu obecnego stulecia chłaniać w siebie z Chopina na ogół nie więcej, aniżeli z niego pozostało po przejściu przez filtr takich indywidualności twórczych, jak Wagner lub Ryszard Strauss. Poddawano się nie wpływom Chopina, ale raczej wpływom autorów, którzy już dawniej przejęli, zastosowali i rozwinęli zdobycze harmoniki szopenowskiej. To też muzyka „Młodej Polski”, skądinąd bujna i bogata, nie jest muzyką narodową w tym sensie, w jakim to określenie stosował Norwid. Problematyka schyłkowej epoki i ideologia „Młodej Polski” literackiej nadały tej grupie pewne charakterystyczne cechy wspólne, nowe w muzyce polskiej ale jednorazowe, niepowtarzalne i od szopenowskiej atmosfery stylistycznej względnie odległe.

*

Jak wiadomo, z grupy „Młodej Polski” wysunął się na pierwsze miejsce w latach międzywojennych nieodżałowany, przedwcześnie zmarły Karol Szymanowski, jedyny nasz kompozytor, który siłą talentu, oryginalnością inspiracji oraz poziomem rzemiosła może stanąć obok Chopina. On też jedyny z całej grupy swych rówieśników odczuwał fałsz sytuacji, która kazała nawiązywać do wielkiego rodaka okólną drogą wagnerowsko-strausowską.

To też twórczość Szymanowskiego, poczęta w najlepszych czasach „Młodej Polski”, jest w dalszym swym przebiegu — mniej więcej od wybuchu pierwszej wojny światowej — stałym i uporczywym szukaniem „drogi do Chopina”, szukaniem początkowo może nie zawsze fortunnym i czasami sprwadającym na manowce, ale zawsze szukaniem imponu-

MIECZYŚLAW WIONCZEK

Książka w więzieniu

JESZCZE NA WOLNOŚCI

Dobre to były jeszcze dla książki czasy — jesień roku trzydziestego dziewiątego. Żniwa prawdziwych i przypadkowych księgarzy, żniwa bibliofilów i uczonych, nim zdążył okupant swoje w świecie książek wprowadzić porządek. Upodobali sobie ówczesni warszawscy bukiński domy wypalone, jako że na ulicy się było napoty i w sklepie, deszcz mniej kapał i wiatr mniej kartki rozsypywał. Stały jeszcze wówczas Remarque'i obok Mannów, Rauschningi obok Wańkowiczów, Tuwimy obok Broniewskich, jaskrawiły się ostrymi barwami obwoluty Albatrosów i Pingwinów obok spokojnych, cichych okładek NRFu i Płona.

Toteż chodziłeś jak urzeczony, nie wiedząc, czy kupić komplet Conrada w oryginale, czy siedem tomów „Przeglądu Socjologicznego”, całego Prousta czy „Encyklopedię Wychowania”? Cudów było co niemara, każdy mógł wybierać do woli; liryk — rzadkie tomy Eluarda i Cendrarsa, za którymi przed wojną ganiać można było całą Warszawę i pół Paryża; filozof — najmniej spodziewane Arystotelesy w oryginale i Kanty w pierwszych wydaniach, historyk sztuki i architekt — rzadkie polskie wydania Vitruwiusa i jeszcze rzadsze sztychy zamków i zameczków polskich; socjolog — Marxa i Mannheima, Comte'a i Webera. Wszystko to pojawiało się nagle, aby szybko zginąć w żarłocznych tekach niestrudzonych bibliomaniaków.

To było babie lato książki warszawskiej za czasów okupacji. Jeszcze nie zaczął działać Propaganda-Abteilung, jeszcze nie było książki zakazanej.

KULTURTRÄGERZY

Ponura, machina, przywieziona z „nowej Europy” ruszyła, z małym opóźnieniem, gdzieś koło Bożego Narodzenia roku trzydziestego dziewiątego.

Pierwszym „Vernichtungskommando”, jakie pojawiło się na ulicach Warszawy, były kolumny, które miały oczyścić stolicę ze „złej literatury”. Zamknięto i opieczkowano ma-

jącym uczciwością zamierzeń artystycznych, a przede wszystkim szukaniem uwieńczonym po latach trafnością końcowego osiągnięcia. Szymanowski, po krótkim okresie reakcji antystrausowskiej, rzuca się w kierunku impresjonistów francuskich, a przekonawszy się o bezcelowości i tej drogi zwraca niesłychanie ostrym zakrętem do mazurków Chopina i w konsekwencji do naszej muzyki ludowej jako prażródła inspiracji szopenowskiej. Ta część jego twórczości jest nareszcie tym, tak pożądanym i zbawionym dla naszej muzyki, a przy tym całkowicie udanym rezultatem „powrotu” do Chopina najprostszą i jedynie słuszną drogą. Oczywiście łączność stylistyczna między muzyką Chopina a rezultatami, które osiągnął Szymanowski w ostatnim okresie swej bogatej twórczości, polega przede wszystkim na wewnętrznym klimacie, na ciężarce gatunkowym samej muzyki. Rozwój środków techniczno-muzycznych w ciągu tych stu lat, które oddzielają działalność tych dwóch ludzi, był tak olbrzymi, że jedynkie głębsze badania fachowe odkryły tu wszystkie ukryte wspólne właściwości. Poczucie łączności między muzyką Chopina a Szymanowskiego polega na tym najgłębszym, nieomal niewyrażalnym odczuciu, które decyduje o stylu niezamierzonym, a pragmatycznie z góry określonym.

Od śmierci Szymanowskiego dzieli nas oczywiście zbyt krótki okres czasu, abyśmy mogli zauważyć u młodego pokolenia jego uczniów i następców już obecnie jakiegoś głębiej sięgającego a przy tym jednolite stylistyczne rezultaty przejęcia się postawą mistrza. Niewątpliwie nasi współcześni młodzi kompozytorzy wyrśli pod zbyt przemożnym wpływem potężnej indywidualności Szymanowskiego, aby nie mieli przesiąknąć ideami swego protagonisty. W pierwszej młodości przejęli od niego nie tylko postawę ideologiczną, ale i środki wyrazu; w późniejszych latach międzywojennych rozeszli się w rozmaitych kierunkach szukając dróg własnych. Zresztą to najmłodsze pokolenie naszych kompozytorów jakkolwiek imponuje liczebnością, nosi w sobie wszystkie tak dobrze znane cechy generacji między obu wojnami. Zablakanie ideologiczne i uciążliwe próby szukania coraz to nowych dróg utrudniają wydanie zdecydowanego sądu, straszliwe lata ciemności przebyte ostatnio też nie przyczyniły się do wyjaśnienia słuszności tej czy innej drogi. Wiemy, że większość naszych kompozytorów pracowała podczas wojny usilnie i wytrwale. Obecnie przyszedł czas zapoznać społeczeństwo z rezultatami tej pracy. Może teraz właśnie uda się śladami Szymanowskiego trwalej nawiązać nić z wiecznej młodości, zawsze żywą sztuką Fryderyka?

Start dowiódł istnienia doskonałego planu likwidacyjnego oraz idealnej współpracy trzech kulturtragerów. Zasadniczy tron wydawnictw antyhitlerowskich — „Rój”, Przeworski i Fruchtmann — uległ konfiskacji. Ale przemysłowość i odwaga kilku księgarzy i wydawców uratowały część literatury zakazanej. Wywieziono je ze składów i schowano. Ocalał przy tym Rauschning, książka, którą w latach 1943 i 44 można było nabyć w każdej księgarni warszawskiej po zamówieniu poprzedniego dnia u znajomego ekspedienta.

W lecie 1940 roku wielokrotnie spotykało się na ulicach Warszawy ciężarowe samochody pełne po brzegi książek. To Sienkiewicz, Sikorski, Mannowie, Zweigi i Malraux odbywali swą wędrówkę ostatnią do „książkowych” Majdanków i Treblinek.

Zmieleni w młynach i zamienieni na masę papierową mieli odczyć w roli literatury „zdrowej i europejskiej”, jaką była niewątpliwie prasa i oficjalne wydawnictwa gubernatorstwa. Oszczędność i planowość, jakże podobna do dziełowej kapusty na polach Majdanka! Artykuły oberkanta Franka na papierze z „Czarodziejskiej góry” i „Czasów pogardy”!

„HOMO OECONOMICUS”

Ale tutaj wystąpił czynnik nieprzewidywany przez organizatorów „nowego ładu” z Berlina. Zwykła ludzka chciwość i stawianie wyżej w hierarchii wartości dzisiejszego zarobku nad jutrzejsze zbawienie odkryła oczom szanownej trójcy fakt, że książki zakazane można... sprzedać. I to sprzedać dobrze. W panach Dietrichu, Kostrzewie i Ramułcie „homo oeconomicus”, tylekroć przebiegi „führera” potępianym, zwyciężył „człowieka politycznego” — dziecię ukochane Rosenberga, Kriecka i Carla Schmitta. Do młyna dotarła tylko makulatura, no i towar w gorszym handlowo gatunku.

Oczywiście ani Peter-Paul Kostrzewa, pan na „Deutsche Buchhandlung”, ani Hoesicka „dziedzic” i wódz księgarni żydowskiej Ramułt nie mogli wystąpić w roli sprzedawców. Oczekano kilkanaście miesięcy, po czym w cichym lokalu na piętliku przy Marszałkowskiej narodziła się w końcu czterdziestego drugiego roku anonimowa hurtownia księgarska „Litera”, gdzie nabyć można było po wysokich cenach i bez rachunku książki, za których znalezienie na półkach księgarskich groził spacer na Aleje Szuca. Czyż szanowna trójca nie może pretendować do odznaczenia za zasługi dla książki zakazanej?

POD ZIEMIĄ

Między Syruciowymi wierszami (por. J. Andrzejewski, w pierwszym roku wojny, „Odrodzenie”, nr 15), sztyrymi dratwą i obcinanymi żyłką, pierwszą publikacją literacką okupowanej Warszawy, a norwidowskim „Gromami i pyłkami” (por. W. Iwaszkiewicz, Nowy Norwid, „Odrodzenie”, nr 8—9), o wytwornej szacie graficznej i doskonałym aparacie krytycznym, wydanymi w przeddzień powstania, zmieścić trzeba około 150 literackich publikacji książkowych w latach 1940—44. Dwa znane mi prywatne zbiory książki konspiracyjnej (oba spłonęły w sierpniu), liczyły ponad czterysta pozycji bibliograficznych.

Wierszy tam było tomów chyba 80, kilka tomików wznowień literacko-publicystycznych (Kisielewskiego „Ziemia gromadzi prochy”), kilkadziesiąt tomików prozy dokumentarnej i wspomnień („Kamienie na szaniec”), proza filozoficzna i krytyczna i miscellanea najprzeróżniejsze.

Były tam wiersze ponure (jako poezja) i wiersze wspaniałe, grafomaństwa okrutne i liryka najczystsza, poezja chłopka i poezja proletariacka, poezja tak kameralna, jakby pisana przez Kruzoego na bezludnej wyspie, i poezja tak propagandowa, jak afisze wyborcze. Zawikłany obraz zawikłanych czasów!

Śledzić chcesz rozwój sztuki drukarsko-wydawniczej, weź do ręki (jeśli ocalały) egzemplarze Syrucia i Norwida. Droga od zacinającej się maszyny do pisania i ręcznego powielacza do antykwy Połtawskiego i prążkowanego papieru jest jedną z najchlubniejszych, ale i najkrwawszych dróg księgarstwa i drukarstwa polskiego. Nie będzie chyba przesadą twierdzenie, że na każdą zakazaną pozycję bibliograficzną w okupowanej Warszawie przypada... jeden trup. Straty wśród autorów, wydawców i drukarzy książki zakazanej wynoszą kilkadziesiąt pozycji... nie zapisanym w żadnej bibliografii — istnieje ludziach.

Pierwsza publikacja literacka miała nakład 46 egzemplarzy. Największy sukces wydawniczy lat wojny — Arkadego Fiedlera „Dywizjon 303” miał siedem wydań w nakładzie łącznym około 4000 egzemplarzy. Czytywany był (dosłownie) w tramwaju... Wśród curiosów wydawniczych niewątpliwie pierwsze wydanie Fiedlera będzie zajmowało miejsce jedno z czołowych. Książka ta z kilkunastu rysunkami wyszła u Colina w Londynie w r. 1941. Egzemplarz oryginalny, który dotarł do Warszawy, tyle miał uroku dzięki szacie graficznej, że ktoś wpadł na pomysł wydania książki w odbitkach fotograficznych. Zwłaszcza, że ostatnio czynna drukarnia właśnie wpadła...

W dwa tygodnie po zrodzeniu się pomysłu w głowie fotomaniaka, kursowały już po stolicy kartonowe pudełeczka o formacie 9 X 12 ze sfotografowaną książką. Nakład był, jeśli pomnę, egzemplarzy trzysta.

Nauka nie poszła w las... W kilka miesięcy potem pewien pomysły „business-

man" wydał w identyczny sposób fredrowskie i niefredrowskie obscenica, rarytas poszukiwany wielce przez „jeunesse d'or" i wzbogaconych masarzy i macarzy. Każdemu według jego zasług i zamiłowań.

ZŁE I DOBRE DUCHY

Księgarnie stołeczne, zakłopotane i przerażone nieco akcją znanego nam triumwiratu w roku czterdziestym, gdzieś dopiero zimą tego roku poczęły odzywać. Równolegle z różnicowaniem się mieszkańców wojennej Warszawy, różnicują się i przybierają nowe oblicza warszawskie księgarnie. Mamy więc i mieć będziemy aż do końca księgarnie-paskarzy obok księgarń-społeczników, księgarnie-kutwy obok księgarń-dobrych handlowców. Mamy życie oficjalne obok życia zakazanego, towar na ładzie i pod ładą.

Niech zaginie pamięć o kutwach i paskarzach. Zapomnijmy o panu, który miał swój „warsztat zysków" w okolicy Dworca Głównego, biorąc bezwzględnie za książki co najmniej dwa razy więcej niż inni. Może te same książki, gdyby je sprzedawano tam po normalnych cenach, nie imponowałyby kupującym. Czyż nie była dowodem opieki boskiej (patrz studia Webera o genezie kapitalizmu) i „patentem szlachectwa intelektualnego" — „Rodzina Whiteoków", kupiona w tejże księgarni za 3000 młynarek! Socjolog konsumpcji literackiej dopowie resztę.

Czyż nie pokarał Bóg wielkiej księgarni na Krakowskim Przedmieściu, która uparcie przez szereg lat sprzedawała tylko i wyłącznie śmieci wyłożone na ładzie, gdy półki z napisem „dostęp tylko dla pracowników" posiadały bogactwa nigdzie już niespotykane. Wydawnictwo to zawsze inicjowało podwyżkę cen w stolicy i bywało dość często terenem kłótni z klientami, którzy nie mogli pogodzić się z faktem nierealności przedmiotów dotykanych tj. z tym, że nie ma książek, które wszak stoją na półce w odległości kilku metrów. Nieszczęsny Harpagon nie ocalał ani jednego tomu!

Na przeciwnym krańcu wachlarza stoją dwie księgarnie — pamiętna „Wueska" (Warszawska Spółdzielnia Księgarska) z Żoliborza i księgarenka z ulicy Puławskiej na Mokotowie. Ze personal „Wueski" nie zgnął w więzieniu (w sprzyjających okolicznościach), cud to niewątpliwy. Przez pięć lat mając do czynienia co dnia z książką zakazaną i konspiracyjnie wydaną, dość byłem zblazowany. Ale „Wueska" była wszelkie rekordy! Skład za sklepem frontowym, odwiedzano codziennie przez dziesiątki ludzi, należało wówczas sfotografować, a fotografie pokazywać dziś niedowiarkom. To było „muzeum książki zabronionej"! Półki upakowane od podłogi do sufitu. Marx, Lenin (po polsku i w oryginalnym), socjaliści utopijni i neutopijni, Limanowski, Krzywicki... Mało? Askenazy, Kutrzeba, Handelsman, wydawnictwa Instytutów Śląskiego i Bałtyckiego, Bogusławskiego — „Dzieje Słowiańszczyzny Zachodniej"... Mało? Rauschning (kilka egzemplarzy), Benoit-Méchin, Lloyd George i Clemenceau, książki Sikorskiego, Dangla „Na drogach odwetu"... Mało? Thomas Mann i Henryk Mann, Arnold Zweig i Stefan Zweig, Döblin, Gläser i Remarque, Morcinek i Zegadłowicz, Krzywicka i Wittlin. I różne inne równie przez okupanta ulubione pozycje. „Mniej winne" w pojęciu personelu książeczki, przeróżne „vies romancées" Zweiga, Neumanna i młodszego Manna zdobyły lokal frontowy, czasami nawet wtrynęły. Namowom przyjaciół, radzących większą wstrzeźliwość w reklamie, ulegano bardzo niechętnie.

Księgarnia przy Puławskiej pracowała mniej ostentacyjnie, ale równie skutecznie. Zrobiono tam po prostu katalog zakazanych książek posiadanych na składzie. Było tego około pięćset pozycji, tak że wszelkie sprawy i mieninowe załatwiała się bez trudu. Wybór nie mniejszy był niż przed wojną. „Krzyżaków" poszło stamtąd w świat ponad 500 egzemplarzy.

MEKKI I JEROZOLIMY

I wreszcie przystanki tramwajowe na codziennej trasie poruszanego żądzą poznania czy posiadania — miłośnika książki — warszawskie antykwiariaty czasów okupacji. O, ileż wam winienem, o miejsca rozkoszy! — można by stawestować „Pana Tadeusza". Miejsca rozkoszy, gdy odnalazło się książkę upragnioną; miejsca rozpaczy, gdy brakło na nią pieniędzy; miejsca zazdrości, gdy sprzątnięto nam książkę sprzed nosa. Kluby, kawiarnie i świątynie naraz — bibliomaniaków!

Ciche zatoki warszawskiego morza łapanek i strzelaniny, gdzie zaglądali tylko swoi, gdzie znało się każdego współbiedniaka, gdzie uciąć sobie było można filozoficzną dyskusję lub dowiedzieć o losach nieznanego dawniej wydania. Mekki i Jeruzolimy starych krytyków i młodych poetów, uczonych profesorów i nieopierzonych obrazoburców. Miejsca, gdzie nieodwołalnie spotkać można było prof. Kotarbińskiego, tropiącego nieznaną artykule polskich myślicieli ostatnich pokoleń i prof. Krzyżanowskiego, uganającego się za tym czy innym zbiorem bajek. Tu Andrzejski z uporem maniaka poszukiwał polskich powieści z pierwszej połowy XIX stulecia. Miłośz uganiał się za szekspirianami, a Wyka podczas wypadów do stolicy żądał Paul Hazarda, Huizingi i Groethuysena.

Wielkich antykwiariatów, składnic mądrości wszelakiej było trzy — „Logos", Gebethner i Arct, wszystkie trzy w rękach specjalistów doskonałych obiecywały wiele i obietnic do-

trzymywały. Tutaj podział na książki dozwolone i książki zakazane nie obowiązywał. Tu przez lat pięć cała intelektualna Warszawa zaopatrywała się w książki naukowe z wszystkich możliwych dyscyplin i w literaturę piękną we wszystkich możliwych językach. Tu kupić było można wszelkie publikacje najświeższe — od liryki do programów politycznych. Czyż mały to tytuł do sławy?

W bibliomaniakich wędrownkach trafiały się dni bardziej i mniej emocjonujące, zależnie od napływu najszlachetniejszego z towarów. Dni, w których szły na półki duże prywatne księgozbiory, były dniami poruszenia wśród księgofilskiej braci. Dobre książki

Po prostu

Nie wystarczy groteska

Stanisław Dygat nie chce śmiać się z Hitlera. Leon Pasternak nie tylko sam się śmieje, ale i innych do tego namawia. Sprawa jednak nie jest tak prosta, jak się to obu pisarzom wydaje i nie chodzi w niej wcale o indywidualne gusta. „Kiedy prestidigitator z bocznej kieszeni frakowej kamizelki — piął blisko trzydzieści lat temu Karol Kraus — wyjmując dwie jedwabne chustki, patelnię z jajecznicą na sześć osób, dwańście gołębi i parę tresowanych żółwi, mistycy skłonni są przypisywać to siłom nadprzyrodzonym, racjonalści natomiast upierają się, że magik miał to wszystko schowane w kieszeni." Stanisław Dygat, który uważa, że Hitler stał się wodzem Niemiec, ponieważ źle malował obrazy, należy do obozu owych, pozał się Boże, szczerze przepraszasz profesora Kotarbińskiego, naiwnych racjonalistów, którzy widzą przyczynę dziesięciu lat panowania faszystów w prawie całej Europie w obłądźcie paru facetów, jacy przypadkiem dorwali się władzy. Nie należy spłycać każdej dyskusji. Jest zupełnie obojętne czy kto lubi, czy nie lubi dowcipów o Hitlerze. Istotna jest natomiast sprawa, jakie są to dowcipy? Jaka jest społeczna rola dowcipu? Jaka jest historyczna rola groteski?

W jednym ze środowisk pisarzy warszawskich zaczęły w ostatnim roku okupacji pojawiać się głosy, nawołujące do zerwania z tragicznym patosem w ukazywaniu obrazów rzeczywistości. Należy — twierdzono — pokazać, że Niemcy są bardzo śmieszni. Kiedy zaczęliśmy z nich drwić, przestaną być dla nas groźni. Żart, groteska, karykatura pozwalają nam koszar okupacji sprowadzić do kategorii ludzkich i duchowo przezwyciężyć. Na parę miesięcy przed powstaniem zaczęto w Warszawie pisać pierwsze humoreski na tematy współczesne. Zamiast grozy próbowano dobrać komizm okupacji.

„Historia — pisał Karol Marks w „Krytyce filozofii prawa Hegla" — wszystko co robi, robi gruntownie i przechodzi przez wiele faz zanim jakąś formę społeczną zaprowadzi do grobu. Komedja jest ostatnią fazą każdego okresu historii powszechnej. Bogowie greccy zranieni śmiertelnie w sposób tragiczny w „Prometeuszu spętany" Ajschylosa, ponieśli musieć jeszcze śmiertelnie komiczną w „Dialogach" Lukiana. Skąd taka droga historii? Ponieważ ludzkość radośnie wyzwała się ze swej przeszłości."

Niewątpliwie śmiech jest ostatnim pożegnaniem odchodzącej epoki. Ostateczną kompromitacją średniowiecznej medycyny stała się nie teoria Harvey'a o krążeniu krwi, ale okrutne drwiny Molière'a. Przyjdzie czas, że i przywódcy faszystów staną się bohaterami komedii. Nastąpi to jednak dopiero wtedy, kiedy odczuwać będziemy komizm nie tylko koloro-

tyśkawkicznie przechodziły w dobre ręce. Któż nie pamięta dni, kiedy rozprzedawano księgozbiory Napierskiego, prof. Myślickiego czy Romanowskiego? Wszyscy spotykali wtedy wszystkich.

Łatwopalny materiał, gromadzony w stolicy przez tych wszystkich, którzy umiłowali sobie książkę, zmienił się w popioły drugiej wrześnieowej kłęski. Niepoprawni bibliomaniacy, ludzie, po raz pierwszy chyba w życiu nie mający ani jednej własnej książki, nie nauczyliśmy się niczego. Pożyczamy książki stare, oczekujemy książek nowych.

Mieczysław Wionczek

wych koszul, gestów i „parade-marszów", nie tylko zewnętrznej dekoracji hitlerysty, ale również i jego społecznej treści. Nastąpiło dopiero wtedy, kiedy szczerzy śmiatek będzie budzić, że paru właścicieli kopalni, banków i fabryk mogło decydować o życiu gospodarczym kraju i zmusić uczonych, pisarzy i artystów, aby wierzyli we wspólność rasową, w nadludzi, w wyzwalającą moc czynu. Na to jeszcze długo musimy czekać. I zwłaszcza obecnie nie wolno nam zapomnieć, że spustoszenie, jakie czynił faszyzm w życiu duchowym, polegało przede wszystkim na mitologizowaniu rzeczywistości, na wiecznej maskaradzie pojęć, na oduczeniu ludzi od myślenia serio, od myślenia historią. I dlatego groteska, która ukazuje jak ponura brednia rządzi światem, może stać się szkodliwa i niebezpieczna.

Pierwszy zdaje się Kazimierz Wyka zwrócił uwagę na głębokie pokrewieństwa, łączące twórczość katastroficzną i szycerską w pięciolecie poprzedzającym wojnę. Katastrofizm był wyrazem słabości, strachu i niemocy, groteska była świadectwem niedorozwoju intelektualnego, lęku przed wzięciem rzeczywistości za rogi, przed zmierzaniem się z nią po balzakowsku — twarzą w twarz, przed rozprawą na serio. Pomiedzy wirującym i stukającym stolikiem spirytystów, a znacznie bardziej ruchomym stolikiem wędrownego magika od gry w „trzy karty" nie ma tak wielkich różnic. Katastrofiści nabierali czytelnika na mistycyzm, szycery brali go po prostu na kawał. Katastrofiści przekonwali, że świat jest koszmarem, szycery wyrażali mu piąstką. Niestety w oparach bezsensu piąstkę tę ledwie było widać. Dopiero dziś w „Ferdydurce" Gombrowicza, i to przy dużym wkładzie dobrej woli, odczytać można paszkwil na epokę sanacyjną i dostrzec w scenie powszechnego mordobicia, jaka kończy książkę, realistyczną zapowiedź września 39 roku. Dopiero dziś widać, że niedopuszczone przez cenzurę do druku (podziwiam genialność cenzora) „Bal w operze" Juliana Tuwima był wielokrotnionym obrazem warszawskiej „Adrii", gdzie w środku tańczyli ministrowie, ambasadorowie i pułkownicy, w przedsiönku głośniaki ryczały „ideolo", a na zewnątrz przechadzali się tajniacy i prowadzili filozoficzne rozmowy na temat wygodnego obuwia.

Nie może nam wystarczyć dzisiaj ani groteska, ani parę dobrych dowcipów. Literatura polska musi wydać wielką powieść społeczną i polityczną o własnym i cudzym faszyzmie. Marzę, abym dożył czasów, kiedy Bór-Komorowski będzie dla mnie postacią humorystyczną. Tymczasem go nienawidzę. I dlatego ciężko się, że zostały napisane „Węzły życia" i podziwiam talent znakomitej pisarki, która pierwsza potrafiła obnażyć mechanizm społeczny rządzącej nami przez tak długo klikli.

Jan Kott

Bogactwo

Cóż mamy oprócz ludzi? Niewiele więcej. Zaczynamy budować się na równinie polskiej, jakbyśmy tylko co przyszli tutaj w epoce wędrowniki ludów. Niebo i ziemia. Ziemia i człowiek na niej — to nasz majątek. Człowiek jest jednak przedziwne złożonym i delikatnym mechanizmem. Właściwie użyty, dokonuje cudów. Niewłaściwie użyty, spełnia tylko drobna część tego, co spełnić mógłby. Zaczyna się wtedy, wykrzywia i daje coraz mniejszą miarę możliwości. W kłębowskiu, jakim jest dzisiaj Polska, widzimy ludzi-traktory, których się używa do poruszania młynków od kawy. Ludzi-zegarki, użytych do orki. Ludzi-gaśnice, którym każe się wzniesić pożar. Ludzi-młoty, zapędzonych do pracowni optyki. O, bo właściwi ludzie i właściwe miejsca dopiero nawołują się, przekrzykując powszechną wrzawę, a nieraz właściwe miejsce wysuwa się spod właściwego człowieka, który zapomniał, że ziemia się kręci. Burzliwe okresy, jak ten przeżywany obecnie, wydobywają na powierzchnię niezmiernie wiele typów ludzkich, wołają o typologię. Nie wiem czy nasza epoka wyda nowego Balzaka. To pewne jednak, że powinniśmy się zmienić w miliony maleńkich Balzaków, śledzących bystro i przenikliwie postacie naszych bliźnich.

DYREKTORZY

Niedawno jeszcze prowadzili sklepiki, pracowali w banku, byli nauczycielami wie-

o wszystkim zadcycyować sam — a nim się to stanie upłyną długie, długie tygodnie.

Nie jest łatwo nauczyć się sztuki skrótów i przyswoić tak, aby to weszło w krew, świadomość zasięgu zadań, świadomość hierarchii zadań. Ci, którzy się tego nauczą, zostaną nadal dyrektorami. Ci, którzy tego się nie nauczą, spadną wśród szyderstw i oskarżeń o nieudolność.

SERWILIŚCI

Serwiliści przemykają się pod ścianami, oblesnie uśmiechnięci, zacierając rączki. Widzą ciemne strony życia, ale gdy zabierają głos leje się im z ust patoka pochwał i entuzjazmu. Uważają, że żadna krytyka „nie przejdzie", więc lepiej schlebiać, wielbić i udawać zachwyconych. Tymczasem ci, którym tak kadzą, są przejęci niesmakami. Czego innego oczekiwali: oczekiwali słów poważnej i rzeczowej krytyki, pomysłów zmierzających do ulepszenia, materiału sprostżeń, będącego pokarmem dla wszelkich godnych tej nazwy kierowników. I tak gra się komedia omyłek.

Serwiliści wszędzie wietrzą mafię, która z góry wszystko ukartowała i jest głucha na jakiegokolwiek perswazje. Nie czują się równo-uprawnionymi obywatelami. Są podobni do niektórych, niedawno jeszcze dość popularnych polityków, którzy zwątpili w możliwość prowadzenia polityki i chcieli ją ograniczyć do czystej manifestacji. Nie przypuszczają, że tam, gdzie widzą mafię jest w gruncie rzeczy ciągle kształtowanie się opinii i że mogliby w tym kształtowaniu wziąć udział. Klaniają się przed urojeniem ich własnej wyobraźni, czynią posągi z żywych ludzi, którzy też chcą czasem się pokłócić i podyskutować.

ZWOLENNICY RÓWNOŚCI

Równość jest hasłem dnia. Równość jest nabytkiem szacownym, zwłaszcza u nas, gdzie za czasów międzywojennych żyło się w zupełnym braku równości, a w czasach wojennych miało się równość i owszem, ale równość zdychania w Oświęcimiu. Niech więc żyje nam równość, warto nią trochę poddychać. Ale co to jest równość? Są tacy, którzy pojmować ją chcą mechanicznie — znak nieomylny, że są neofitami równości i brak zrozumienia nadrabiają gorliwym powtarzaniem samego słowa.

Jeżeli wybitny specjalista — jakich jest w Polsce trzech — stoi w ogonku po zupełnej godzinie, a obok niego tyleż czasu stoi siła biurowa, jakich w Polsce jest pół miliona, to przepraszasz bardzo, ale nie jest to żadna równość. Wybitny specjalista opracowuje właśnie plany, od których zależy przyszłość całego przemysłu, albo odbudowa zniszczonych miast. Półtorej godziny zużyte na stanie w ogonku, to może dwa lata ukradzione następnemu pokoleniu, bo czego nie domyśli do końca specjalista, będą musiał odrobić ręce potomnych. Półtorej godziny siły biurowej, to tylko pewna ilość stron niezapisanego papieru.

Istnieje obyczaj w prawie łowieckim, że rzadką zwierzynę otacza się specjalną opieką. Zwykle po okresach tępienia przychodzi opamiętanie i ginącemu gatunkowi stwarza się najlepsze warunki. Polscy specje byli przez szereg lat najbardziej łakomą zwierzyną dla Niemców. Ubytek wśród tego gatunku jest nieproporcjonalnie wysoki w porównaniu z ubytkiem wśród dyrektorów biur i wśród zwyczajnych sił biurowych. Może warto więc wynaleźć dla nich — czas ochronny? Nie nastąpi to, jeżeli zechcą o tym wyrokować zwolennicy mechanicznej równości.

TEPI

Że człowiek, którego spotyka się po długim niewiedzeniu, nie jest tym samym, jakiego znało się przed 15-tu laty, a także, że ludzie są czym innym, niż na to wyglądają — nie każdy zdaje sobie sprawę. Są tepi, do których świadomości nigdy to nie przenika. Urabiają sobie zdanie o kimś na podstawie powierzchownej obserwacji i nie już tym zdaniem zachwiał nie może. Ten ktoś przeszedł przez najdziwniejsze życiowe tarapaty, dzieścię razy sobie samemu przeczył, kluczył, powracał, błędził — bo przeczył sobie i błędzić, to znaczy rozwijać się — a tu spotyka go dawny znajomy i zachowuje się jakby kończyli zaczęta przed chwilą rozmowę. — Podobno zajmuje się pan Bergsonem? Diabła tam, Bergsonem zajmowałem się dziesięć lat temu. — Twórczość pana pozostaje pod wpływem Apollinaire'a. Do licha, chyba nie ta rozprawa z ekonomii politycznej, nad którą pracuję od początku wojny. I tak rozmawiają — jak Eskimos z Murzynem, jak Polak z Niemcem.

Tępi nie są zdolni przypuścić, że w ludziach mieszczą się połączenia najskrajniej przeciwnych cech. Jeżeli ktoś ziewa, nudzi się, wykręca się od pracy — znaczy to, że jest skończony leń i nigdy nic z niego nie będzie. Spróbujcie jednak zobaczyć tego samego lenia przy pracy, która mu lepiej odpowiada. Tytan, haruje dnie i noce. Jeżeli ktoś obraca wszystko w żart, opowiada ciągle zabawne historyjki — tępi orzekną, że jest niepoważny, ale bardzo wesoly. Trafili kula w płot — właśnie ów jegomość według tych, co lepiej go znają jest bardzo poważny, traktujący świat niesłychanie serio, a przy tym smutny i zawsze zatroskany. Kiedy indziej lekkomyślny człowiek o minie karawaniarza zyskuje u tępych opinię poważnego i niesłychanie odpowiedniego pracownika. Gdy w ręce tępych oddaje się dobieranie ludzi, co powstaje? Plaga społeczna. Czesław Miłosz

Jeszcze „Przepióreczka”

W artykule „Uciekła nam Przepióreczka”, który ukazał się w 16 numerze „Odrodzenia”, Jan Kott dokonał zabiegu operacyjnego na Zeromskim. Podobnej operacji dokonał, może tylko w nieco oględniejszej formie, mniej „po prostu”, nie kto inny, jak Boy-Zeleński.

W recenzji swojej napisanej w roku 1935 z okazji 10-lecia „Przepióreczki” Boy-Zeleński porusza niemal te same sprawy i zagadnienia, co Kott. Zwraca więc przede wszystkim uwagę, że postępowanie Przełęckiego należałoby rozpatrywać raczej psychologicznie, a nie dydaktycznie i powiada: „Czytałem — nie pamiętam gdzie, może w Montaigne'u — o cnotliwym i bardzo pięknym młodziaku w dawnych czasach, który, zrozpaczony tym, że piękność jego wszystkich — mężczyzn i kobiety — przywodzi na pokuszenie, okaleczył sobie twarz, zeszpeścił się do niepoznaki. Ten odruch samoniszczycielskiej pasji jest może w Przełęckim istotniejszy, niż troska o dzieło; wybuch nagłe uświadomionej i równocześnie niemniej gwałtownie zdławionej miłości, odruch zbrzydzenia życiem, sobą, ludźmi, słabością i niewolą człowieka... To, iż Zeromski umie w nas bodaj na chwilę wnieść wiarę, że ta ofiara Przełęckiego będzie twórczą i płodną, to jego wielki sukces; ale chwila refleksji wystarczy, aby spostrzec, ile w tej wierze jest pięknego złudzenia... Chcę wierzyć — skoro tak trzeba — że, przypieczona jego ironią księżniczka, dopełni, wraz z gronem profesorów, dzieła Przełęckiego. Chcę wierzyć, mimo, że jakoś tego nie czuję. Ale kiedy Przełękę zdaje swoją pracę w ręce Smugonia, robi to na mnie takie wrażenie, co gdyby Napoleon, odjeżdżając na wyspę św. Heleny, wybrał sobie jakiegось tęgiego pięchura i powierzył mu losy Francji, mówiąc: „Pamiętaj, że teraz ty będziesz musiał robić za nas dwóch”. Co gorsza, mam głęboką pewność, że Smugoniowie wylecą. A co najmniej będą przeniesieni. Gmach może i stanie pod dachem, dzięki dolarom księżniczki, ale bez Smugoniów”.

Porusza jeszcze Boy-Zeleński w swojej recenzji z roku 1935 sprawę księżniczki Sieniawki. I mówi tak: „Cała odbudowa symbolicznego zamczyska, cała niemal przyszłość Polski złożona jest z rozbrajającą ufnością w ręce księżniczki, mającej, za swoje „funtowe i dolarowe oszczędności” odbudować nam to wszystko i być aniołem stróżem dobroczynnym serwatycznych bardów tradycjonalistów nie wpadły na taki symbol. Skąd w roku 1925 ta ofiarna księżniczka, skąd jej ta rola? Taka słabość do księżniczek (od biedy, mogła być trąbiana) ma w naszej literaturze swoje tradycje; nie był wolny od niej i szlachetny polityk Prus — aby tylko wspomnieć hr. Solskich w „Emancypantkach”, — ale wtedy tłumaczyło się to warunkami naszego bytu, istniejącym układem społecznym, mogło odpowiadać jakiejś rzeczywistości: tutaj może być chyba tylko projekcją jakichś utajonych, niewyżytych tęsknot pisarza. Ta opatrnościowa księżniczka Sieniawiana potwierdza nam fakt — gdyby tego potwierdzenia było jeszcze potrzeba — jak bardzo Zeromski, mimo „Przedwiośnia”, mimo PPS, mimo swego radykalizmu i najwyższego poczucia krzywdy społecznej, jest jednak nieświadomą kontynuacją szlacheckiej linii naszego piśmiennictwa. Jako „dowód rzeczowy” jest jeszcze i figura samego Przełęckiego. Przełęk jest najwyraźniej z „dobrego domu”, z biedniaka jak wiele dobrych domów w Polsce, ale szlacheckie dziecko, za które nawet księżniczka może wyjść bez zbytniego skandalu. Osterwa podkreśla to jeszcze, nosząc w tej roli na palcu sygnet herbowy wielkości małego talerzyka. Chłopski synowie w tym gronie nauczycielskim są z lekką, dobronliwie zresztą ośmieszona. Supremacja towarzysza Przełęckiego odgrywa w jego wodzostwie nie małą rolę, i nic dziwnego, skoro wszystko zawisło od łaski i kaprysu księżniczki. Tak więc, prorokiem kultury polskiej, człowiekiem wedle serca Zeromskiego, jest tutaj szlachcic, inteligent i arystokraty ducha; a gdy jego nie stało, weźmie jego dziedzictwo oligarchia profesorów wyższych uczelni pod protektorem — księżniczki. To ciekawy komentarz do komunistycznego rzekomo „Przedwiośnia”, i komentarz do niejednoznacznej rzeczy, którą po dziś dzień w Polsce spotykamy”.

Na zakończenie jeszcze jedno. Jan Kott przypisuje wybuch śmiechu na widowni w czasie aktu drugiego językowi Zeromskiego, sytuacjom scenicznym, które stworzył. Jest w tym racja tylko ułamkowa. Do teatru chodzi obecnie publiczność, której część, zwłaszcza młodsze roczniki, nie gardziła widowiskami teatralnymi za czasów okupacji. Widowiska te obliczone na najgorszy smak obniżyły z natury rzeczy poziom i wrażliwość teatralną młodego polskiego widza i słuchacza teatralnego. Nie wolno o tym zapominać.

Dopiero za jakiś czas, gdy z wyziewów przez hitlerowców tolerowanej „sztuki” nic już nie pozostanie, będzie można sprawdzić, czy na prawdę Zeromski jest w drugim akcie aż do tego stopnia przestarzały i nieudolny, że widownia musi wybuchać śmiechem.

Jacek Frühling

W OCZACH PISARZY

Ankieta „Odrodzenia”

Redakcja „Odrodzenia” zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana (i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana (i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan (i) w sposób, jaki Pan (i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej widzianej oczami już wyzwolonymi; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan (i) uzna za słuszny.

UWAGI NA MARGINESIE

Wrzesień roku 1939 zastał mnie u progu działalności literackiej. Wszystkie moje poprzednie prace zaliczyć muszę do prób, które — zwłaszcza z obecnej perspektywy — nie mają najmniejszego znaczenia. Pierwszym osiągnięciem, do którego i teraz przywiązuję wagę, była napisana w r. 1941 powieść pt. „Korek na fali”. W formie groteski fantastycznej usiłowałem zamknąć w tej książce przemiany i fluktuacje, jakim podlega osobowość ludzka. „Korek na fali” wywołał w świecie literackim Krakowa ożywioną dyskusję, krytyka notowała najrozmaitsze — nieraz sprzeczne — sady. Później próbowałem dramatu, czego wynikiem były trzy jednoaktówki, w treści zatrażające o zagadnienia społeczne, a zebrane w tomie pod wspólnym tytułem „Markiza w gospodzie pod Sałtyrem”. Moje aresztowanie i wywiezienie do Oświęcimia w r. 1942 wywarło duży wpływ na późniejsze literackie poczynania. Po szczęśliwym powrocie z obozu napisałem dwa opowiadania („Biała noc” i „Cena krwi”) i drukowałem je w wychodzącym wówczas w Krakowie konspiracyjnym „Miesięczniku Literackim”. Dwa opowiadania później składać się na tom, gotowy do druku. Wreszcie dramat pt. „Wielecór jesienny” (temat: antynie miecka robota konspiracyjna), zamyka listę prac, pisanych w czasie okupacji. W okresie tym brałem udział w licznych — przygodnie organizowanych — wieczorach autorskich i teatralnych, odbywających się oczywiście w prywatnych mieszkaniach.

Sądzę, że nie będę wyjątkiem, gdy powiem, że wolność, której doczekaliśmy się wreszcie, jest dla nas nie tylko szczęściem, jakie dać może spełnienie cierpliwych marzeń. Z perspektywy ubiegłych pięciu lat obecna wolność przyniosła — zwłaszcza nam, pisarzom polskim, — liczne poważne obowiązki, postawiła nas w obliczu zadań, których nie można lekceważyć. Jednak obawę, że można by zadaniami tym nie podołać, tłumnie silniejsza ponad wszystko wiara w siły i powołanie.

Demokracja jest mi bardzo bliska. Polska prawdziwie demokratyczna jest tą Polską, jaką wraz z gronem mych towarzyszy widziałem w młodzieńczych jeszcze marzeniach przed r. 1939. Pięć lat okupacji, podczas których, pracując jako robotnik najpierw w kamieniołomach wapienia, a później w jednej z fabryk podkrakowskich, miałem dość czasu, aby przemyśleć te sprawy, utwierdziło mnie w mych przekonaniach. Przypuszczam, że szereg zjawisk, napotykanym i obserwowanych obecnie, na progu trzeciej niepodległości, rozwinię i pogłębił zagadnienia, akcentowane już w mojej dotychczasowej twórczości. Człowiek, któremu zwrócono godność, staje się człowiekiem prawdziwym.

Dlatego z radością przyjmuję obecną rzeczywistość i wierzę głęboko, że demokracja, stwarzając odpowiednie warunki pracy, stworzy tym samym nowy typ pisarza polskiego. Otwierają się tutaj szerokie horyzonty i możliwości szczególnie dla nas, należących do młodego, nowego pokolenia. Co do mnie, mam zamiar wypowiadać się w przyszłości głównie w dramacie. Jestem przekonany, że młode kadry dramaturgów, walcząc o to, o czym nie tylko ja, lecz wielu innych od dawna myśli, o polski teatr społeczny i o nowy styl tego teatru, odniosą zwycięstwo. Jesteśmy świadkami przemian, usprawiedliwiających to przekonanie. Przyszłości, jakie może napotkamy, będą dla nas jedynie bodźcem do tym wytrwalszej pracy.

Juliusz Kydryński

DOŚWIADCZENIA WOJENNE

Huk pierwszej bomby, która uderzyła w Warszawę we wrześniu 1939 r., był początkiem głębokich przemian społecznych. W warszawskich kamienicach, których środkowe, reprezentacyjne piętra opustoszały wówczas, wymiecione z ludzi przez popłoch, pozostali mieszkańcy suteryni i poddaszy oraz rielicznych siedzib inteligentek i drobniemie-

* Por. nr. 19 „Odrodzenia”, w którym odpowiadają na ankietę: Helena Boguszewska, Jerzy Koronacki i Ewa Szelburg Zarembina.

Grafika książkowa

Na małej wystawie, zorganizowanej w domu krakowskiego Związku Literatów można zobaczyć dobrą ilustrację do dobrej książki. Lata okupacji plastycy wykorzystali na przemyślenie spraw artystycznych — dlatego to co widzimy na wystawie Marczyńskiego i Małkowskiej nie jest rzeczczą przypadkiem, to wynik ewolucji poglądów i doświadczeń.

J. Jankowska-Małkowska jest ilustratorką i graficzką; znane są jej przedwojenne ilustracje do książeczki Tuwima „Słoń Trąbalski”. W porównaniu z nimi obecne ilustracje do „Pawła i Gawła” czy „Hecy koło pieca” A. Wargi wykazują postęp w dwóch kierunkach. Małkowska daje całość kompozycyjną plam barwnych i wątku graficznego.



Adam Marczyński: Rysunek do „Porwania w Tutiurlistanie” W. Żukrowskiego

Czarno-białe ilustracje do „Dziecinne dworu” Rogoszyński wykazują dużą znajomość formy i umiejętność realistycznego rysunku mimo, że posiadają cechy deformującej groteski o ujęciu dekoracyjnym.

Inny jest ton ilustracji Adama Marczyńskiego, który nie jest zawodowym grafikiem, lecz malarzem. Nawet w jednorodnych rysunkach do „Porwania w Tutiurlistanie” W. Żukrowskiego wyczuwa się drganie światła na rozmaicie zabarwiających się w naturze przedmiotach. Technika bogatej kreski, wzorowanej na kresce miedziorytowej, wypukłej formą ślizgającym się po niej światłocieniem, stwarza pewne szkicowe niedomówienia, tak młde dla widza: wypełniają się one w wyobraźni patrzącego, dając końcowy efekt w naszej świadomości. Dekoracyjność ilustracji Marczyńskiego, zawsze starannie skomponowanych polega również na rozłożeniu cienia i półcienia. Przestrzeń komponowana w głab zająbia się z kompozycją płaszczyn. Humor i groteska nie tylko żyją w poszczególnych postaciach ludzkich i zwierzęcych, lecz także w niezwykle dynamicznych scenach zbiorowych.

Inną grupę stanowią rysunki do awangardowych wierszy K. Filipa i Laua. Tutaj Marczyński próbuje środkami swojej techniki oddać wieloplanowe i równocześnie narastające nowoczesnego wiersza. Ogranicza środki ekspresji i mimo to osiąga nastroj.

Wystawa Marczyńskiego i Małkowskiej jest osiągnięciem w stosunku do naszej przedwojennej ilustracji, powinna też spełnić swoje zadanie: nawiązać nici między malarzem a literatem i wydawcą.

Zofia Wielowieyska-Ratkowska

KRONIKA

W londyńskiej National Gallery została otwarta wystawa współczesnego malarstwa wojennego. W przemówieniu podkreślono wpływ Cezanne'a, Picassa i Matisse'a na plastykę angielską.

Teatr „Odon” w Paryżu wystawia nową sztukę Jean Jacques Bernarda pt.: „Panna de Lavalliere”. Jest to historia słynnej kochanki Ludwika XIV. Sztuka została napisana w 1940 r.

Teatr „Atelier” w Paryżu daje komedię Barsaka „L'Agrippa”. Tytuł został zaczerpnięty nie ze starożytności, ale z popularnej legendy bretońskiej. Według podań ludowych z okolicy Nantes i Quimper zdarza się czasem, że do spokojnego domu zchodzi tajemniczy nieznajomy, któremu udaje się pozyskać sympatię członków rodziny. Jest to diabeł „L'Agrippa” (imię to pochodzi od słowa „s'agripper” — uchwycić się, czeplić się), który znikając, pozostawia zamęt i niesnaski. Opierając się na tej legendzie, Barsac z humorem i ironią przedstawił życie rodziny francuskiej na początku naszego stulecia, zakłócone nagłe przez pojawienie się intruza — Agrippy. Komedia Barsaka spotkała się z życzliwym przyjęciem prasy i publiczności. Jedni krytycy widzą w Barsaku literackiego potomka Labiche'a, inni dopatrują się w nim francuskiego Bernarda Shaw.

Powieść Romaina Rollanda „Siedem tajemnic Europy” (Les sept mystères de l'Europe), która ukazała się w 1941 r. w Stanach Zjednoczonych, do czekała się obecnie drugiego wydania.

W Paryżu wychodzi obecnie zbiorowe wydanie dzieł André Malraux. Wydanie obejmuje również nową powieść Malraux, napisaną podczas okupacji pt. „Wojna z aniołem” (La lutte avec l'ange).

Prasa francuska wyszła z podziemi i w nowych warunkach rozpoczęła działalność. Oczywiście pisma kulturalno-polityczne zniknęły bez śladu. Z pism podziemnych najbardziej rozpoznawalną była „Humanité”, która kontynuowała niezmienne swoje wolnościowe, półlewicowe tradycje. „Figaro”, wychodzący sporadycznie na emigracji powrócił teraz do swej dawnej siedziby. Roger Basset, jeden z potomków założyciela „Illustration” jest dziś czołowym publicystą dziennika „L'Aube”. Z innych wymienić należy „L'Aurore”, „Le Franc-Tireur” podziemny organ partyzantki francuskiej, „Front National”, „Paris Presse” i tygodnik poświęcony kolonom pt.: „La France d'outremer”.

czających. I zanim jeszcze poczęły się naprawdę walić zdruzgotane ściany, runęły także i symboliczne ściany, zamykające intymność wnetrza, dzielące od siebie warstwy pięter i suteryni. Wobec wspólnego niebezpieczeństwa śmierci zatarły się różnice i przywileje sfer. Pod gradem bomb wszyscy jednocześnie opuścili swe mieszkania, by zejść do piwnic.

To pierwsze odczucie wrześniowe zostało potwierdzone i przedłużone przez dalsze wojenne moje doświadczenia.

Niebezpieczeństwo życia i prześladowania niemieckie wyгнаły mnie na długie lata zarówno z własnego mieszkania jak i poza granice intelektualnego i literackiego środowiska. Z prawdziwym żalem przyszło mi pożegnać wygodne i wygodne ramy egzystencji, rozkosze wyrafinowanej wymiany umysłowej. A w ślad za nimi rozstałam się również z kulturalnym, czytany odbiorcą książki, a także i dotychczasowymi tematami i zagadnieniami pisarskimi.

Wojenne moje dzieje były podróżą po Polsce w innym, niż dotychczas znaczeniu, były wędrówką przez nieznane mi dotychczas środowiska i rozszerzeniem widnokręgów. Etyapy tej drogi to: małe miasteczko, folwark podmiejski, osiedle podwarszawskie, małomiasteczka, ćwierćinteligentnie mieszkanie, wreszcie ostatnio głucha wieś podkarpacka. Na każdym z tych etapów ohyda wojny przełamana przez pryzmat człowieka, człowieka: tematu, czytelnika, współobywatela...

W rezultacie, po obfitości zarówno krępujących jak i przygnębiających doświadczeń — nastąpiło całkowite i istotne zdemokratyzowanie stosunku do świata i literatury, wyjście poza krąg psychologicznego odczucia i zbyt ekskluzywnej tematyki — w kierunku uproszczenia formy i upowszechnienia treści.

Brutalność warunków życia wojennego, odcieci od środowisk kultury, rujnowanie i prześladowanie przez Niemców każdego przejawu ducha — spotęgowyły we mnie tęsknotę do pracy literackiej, wiarę w jej ważność i konieczność. Zapragnęłam pisać rzeczy pozytywne w treści, zrozumiałe w formie.

Ta przemiana stosunku do literatury znalazła przede wszystkim wyraz w utworach dla dzieci, tak ważnym czynnikiem kształtowania nowych pokoleń ludzkich.

Moja wojenna „epopea” dziecinna pt.: „Jak się wszystko zmieniło” pisana wierszem, dosłownie otwiera dzieje gromadki dzieci, wypędzonych przez wojnę poza obręb wygodnego, dziecinne pokój w dziedzinie twardego obowiązku uboższego życia, gorzkich a zarazem twórczych przeżyć.

Druga książeczka: „Dwie dziewczynki u dwóch ciotek” porusza zagadnienie miasta i wsi, różnic i podobieństw życia, wieczności w swych objawach i twórczego w pracy.

Głód utworów scenicznych tak potrzebnych dla przyszłych teatrów dziecięcych mają zaspokajać wierszowane przeróbki teatralne klasycznych bajek: „Czerwonego kapturka”, „Kota w butach”, „Kopciuszka”.

Jeśli chodzi o utwory dla dorosłych: tematem ich stała się Warszawa 1939 roku, Cykl 50 wierszy, poświęconych oblężeniu stolicy. Te wiersze bardzo proste w treści i mogące liczyć na popularność przez intensywność swego ładunku uczuciowego nabrały nowej aktualności po powstaniu warszawskim. Ono to potwierdziło podkreślone w tych wierszach cechy narodowe, spotęgowane wobec śmierci, w zbiorowej egzaltacji — irracjonalny i wspaniały patos polskiego szaleństwa.

Te dwa okresy męczeńskiej i beznadziejnej walki zbrojnej Warszawy zamknęły w tragicznej klamry okupacyjny okres konspiracji. Treścią jego było codzienne obcowanie ze śmiercią, uciążliwe lawirowanie między trudną powszechnością uboższego życia a czyhającą co krok zgubą. Jednoczesne absolutne odseparowanie od ludzi bliskich uczuciowo i duchowo sprzyjało rozkwitowi wspomnień wbrew naturalnemu biegowi rzeczy — przyszło mi robić bilans przeżyć, syntetyzować i wspominać, nie u schyłku życia lecz w jego pełni. I gdy pogodnym obrazem tych wspomnień stały się studia młodości — przepięknie komponowane w powieść z życia malarzy pt.: „Światłocienie”, z drugiej strony szeregi ginących ludzi, ginących dzieł i środowisk domagały się literackich epitafiów.

Oddzielny temat do opracowania, to wewnętrzne przeżycia tych ostatnich Mohikanów przemijającego świata. Przejście z dziedziny takich krwawiących wspomnień i tragicznych odczuć do twórczej i czynnej rzeczywistości odbyło się dziś prosto i konsekwentnie.

Pomogła mi w tym wiedza o życiu nabyta w bliskim obcowaniu zarówno ze śmiercią jak i z prostym człowiekiem. Pomogła mi wiara w szlachetność i dobroć ludzką, dzięki której przeżyłam tę wojnę, siły zahartowane w codziennych trudach i niebezpieczeństwach oraz najgłębsze pragnienie, by prostym, zrozumiałym słowem i pożywną treścią przyczynić się w najmniejszym choćby stopniu do upowszechnienia i rozbudowy polskiej kultury.

Hanna Mortkowicz-Olszakowa

Łódź moja

W ROKU 1939

Łódź miała ponad 40 szkół średnich i zawodowych, Wolną Wszechnicę Polską (oddział) z prawami szkół akademickich, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, Polskie Towarzystwo Historyczne, Koło Polonistów, Towarzystwo Miłośników Języka Polskiego, Towarzystwo Bibliofilów, Miejską Bibliotekę Publiczną liczącą z górą 50 000 tomów, Centralną Bibliotekę Pedagogiczną (15 000 tomów), Bibliotekę Wolnej Wszechnicy (5 000 dzieł) oraz wiele zasobnych bibliotek prywatnych. Muzea: Miejskie Muzeum Historii i Sztuki im. J. i K. Bartoszewiczów szczycące się dziełami takich mistrzów jak: Boznańska, Chełmoński, Dunikowski, Gierzyński, Matejko, Szermontowski, Wyczółkowski, Weiss, J. Kossak, W. Kossak... z jedynym w Polsce działem „Sztuki Nowoczesnej”, Muzeum Etnograficzne, Muzeum Przyrodnicze, wreszcie w zaczątkach Muzeum Diecezjalne.

Duma Łodzi były trzy teatry. Łódź ufundowała „nagrodę miasta Łodzi” za wybitne dzieła w dziedzinie „nauki, literatury i sztuki” dla pisarzy, uczonych i artystów. Otrzymali ją: Brückner, Kulisiewicz, Nałkowska, Strug, Strzemiński, Świętochowski, Tuwim, Twardowski, Witoszyński.

Były pisma literackie: „Kultura Łodzi”, „Osnowy literackie”, „Wymiary”.

Byli historycy literatury i krytycy: Czapczyński, Erdmanowa, Fallek, Galiński, Hajkowski, Jakubowski, Romankówna, Skwarczyńska, — historycy: Ajnenkiel, Friedman, Kaczmarek, Lorentz, Waręciak, Zanę, byli przyrodnicy, etnografowie, socjologowie...

Z Łodzi wyszedł zastęp poetów i powieściopisarzy: Jarecka, Karpiński, J. N. Miller, Sowiński, Zawieyski, Tuwim, pozostał w niej: M. Braun, Bujański, Dobrzyński, Antoni Kasprzewicz, Len, Madler, Pawłowicz, Piechał, Stawarska, Timofiejew...

Były już liczne druki łódzkie, nawet piękne wydania bibliofilskie. Upornym trudem i wysiłkiem zdobywała Łódź swe oblicze kulturalne. Nieszczęściem Łodzi była zawsze bliskość Warszawy. Światne i błyskotliwe perspektywy stolicy powodowały „exodus” wielu Łodziaków. Tym bardziej droży dla miasta pracy byli ci, co w nim wytrwali. Nadszedł katastrofny wrzesień 1939 roku.

POD OKUPACJĄ

Rozpoczęło się gwałtowne odpolszczanie Łodzi. „Urdeutsche Stadt Lodz” — przezwane „Litzmannstadt” ma odzyskać swe odwieczne praniemieckie oblicze. Zaczęto proces niemieczenia od przemianowania polskich nazw ulic na niemieckie: Isolde-, Balet-, Karl May (!-), Paracelsus-, Brunhild-, Ostland-, Osel (!-), Nymphen-strasse... przede wszystkim jednak wypowiedziano nieubłaganą walkę szkołom, książce i żywemu człowiekowi. Po sporadycznych w ciągu trzech pierwszych miesięcy aresztowaniach zaczęła się na wielką skalę czystka wśród ludności polskiej. Zaczęto tępienie inteligencji polskiej. Część znalazła się w więzieniu, część w obozach koncentracyjnych w Niemczech, część, o ile ciężko na niej podejrzenie działalności antyhitlerowskiej została wymordowana. Inteligencją łódzką wyłapywano po mieszkaniach, gromadzono w punktach koncentracyjnych i wysiedlano — po uprzednim zagrabieniu całego mienia — na teren Generalnego Gubernatorstwa, które miało być — w myśl oficjalnych oświadczeń niemieckich — „ojczyzną” Polaków.

Najpierw sięgnęło Gestapo do przodującej grupy inteligencji... do literatów, dziennikarzy, dyrektorów szkół, działaczy kulturalno-oświatowych, adwokatów, wybitniejszych kupców, potem do nauczycielstwa, księży, sędziów, działaczy robotniczych, urzędników państwowych i samorządowych. Podążali towarzyscy nosili w nieznaną wielotysięczną rzeszę.

Tak znikła w Łodzi górna warstwa inteligencji. Pozostała w mieście masa robotnicza. Niemcy sądzili, iż przyjdzie z łatwością rzeszę ową zgermanizować. Zabrano jej bowiem szkołę polską, kościół polski, książkę polską, zabroniono oficjalnie mówić po polsku na ulicach, po urzędach, w wozach tramwajowych. Widowym symbolem zaniku polskości Łodzi miało być wysadzenie dynamitem pomnika Kościuszki na Placu Wolności i przemianowanie nazwy Parku Poniatowskiego na „Hitlerjugend-Park”.

Równolegle prowadzono walkę z książką polską. Tolerowany przez kilka pierwszych miesięcy „Dziennik Łódzki” — oczywiście zawieszono... wszak w Litzmannstadt nie było już Polaków!

Znikły polskie księgarnie, a znajdujące się w nich książki przeznaczono jako makulaturę na przeróbkę do papierni babianickiej. Przy ulicy Piotrkowskiej stworzono oficjalną „Städtische Bucherei” liczącą 50 000 tomów — książki polskie z ulicy Andrzeja skazano na zagładę. Wyrucono je z gmachu biblioteki, wniesiono do nowo wybudowanego gmachu Biblioteki Miejskiej przy ulicy Gdańskiej, skąd miały być wywiezione na zniszczenie. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ocalały 30 procent i to najcenniejszych wywieźli Niemcy

„kulturträger” do „Vaterlandu”. Uległy zatriacie: Centralna Biblioteka Pedagogiczna, Muzeum Etnograficzne, Muzeum Diecezjalne, Muzeum Przyrodnicze, liczne biblioteki prywatne. Zbiory Miejskiego Muzeum Historii i Sztuki zostały rozkradzione przez dygnitarzy partyjnych.

Jedynie ocalało z zawieruchy wojennej Archiwum Akt Dawnych. Zasługa to niespozta urzędnika archiwalnego Romana Kaczmarka, który jako jedyny Polak przetrwał w Archiwum będąc jego stróżem i opiekunem. Uratował on zbiory archiwalne różnych instytucji łódzkich i zgromadził w gmachu archiwalnym. Ocalił dokumenty kancelarii parafialnych, kurii biskupiej, fabryk, urzędów państwowych i samorządowych, szkół, Wolnej Wszechnicy, gmin sąsiedzkich, książki z bibliotek prywatnych, księgozbiorów szkolnych... Nazwisko Kaczmarka zachowa Łódź we wdzięcznej pamięci.

Zastęp literatów i działaczy kulturalnych łódzkich rozproszył się. Skupili się przede wszystkim w Krakowie i Warszawie, choć nie zabrakło ich we Lwowie, Krośnie, Częstochowie, Lublinie, nawet pomniejszych miastach prowincjonalnych.

Niestety pięć lat wojny przeczepiło zastęp pisarzy-Łodziaków. Wielu z nich odeszło — jedni jako ofiary Gestapo, inni przepadli bez wieści. Oto kilka nazwisk: Mieczysław Braun, Wilhelm Fallek, Zygmunt Hajkowski, Jadwiga Krasicka, Antoni Kasprzewicz, Rafał Len, Zygmunt Lorentz, Grzegorz Timofiejew.

Mijały lata. Oficjalna nauka niemiecka zna jedynie Litzmannstadt. Cechy niemieckości nadawały miastu chorągwie ze swastyką hitlerowską. W cieniu jej żyła blisko 300 tysięcy ludność polska Łodzi, która trwała i mimo wszystko wierzyła...

Aż nadszedł 18 stycznia 1945 roku.

ŁÓDŹ WOLNA

Zniknęła „Litzmannstadt”. Miasto po odpływie 100 000 Reichs- i Volksdeutschów stało się rdzennie polskie.

List Romain Rollanda do Polaków

Pod koniec ubiegłego roku na wolnej ziemi francuskiej zmarł Romain Rolland. Na parę miesięcy przed śmiercią znakomitego pisarza komitet organizacyjny Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Francuskiej otrzymał od niego następujący list:

Będąc poważnie chory, nie mogę wziąć udziału w pierwszym zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Francuskiej. Zależy mi jednak na tym, aby wam powiedzieć, że jestem całym sercem z wami.

Jestem wam wdzięczny za waszą pamięć, jaką zachowaliście o mnie. Moja wierność dla waszej sprawy jest nie mniej żywa. Pomiędzy

wszystkimi męzczyńskimi narodami Europy Polska nie przestała być nigdy najbardziej boleśnie krzywdziona. I znów ją na nowo krzywdzą ze specjalną wściekłością antychryst, który o mało co nie zawiadła światem.

Niech ta straszliwa próba złączy dwie siostry w cierpieniu i chwałę, Polskę i Francję. Świat, który zawsze zdradza skłonność do upojenia brutalną siłą i do upadku w bierność, wymaga, abymy dalej wspólnie wiodli wysiłki naszego płonącego ducha dla społecznego postępu.

Przyjmijcie moje uczucia przyjaźni, szczerze wam oddane

Romain Rolland

„Dziennik Polski” wydał na święta dodatek satyryczny „Lajkonik”. Należy przyklasnąć inicjatywie pisma o największym dziś chyba w Polsce rozmachu, trudniej natomiast przyklasnąć samemu „Lajkonikowi”. Można stwierdzić z całą pewnością, że nie zapoczątkuje on nowej ery polskiej satyry. Nie wiem, może w ponurej aurze swastyki straciłem poczucie humoru, ale nie rozśmieszyło mnie ani trochę, że Swinarski — świnią, Przyboś — wariat, a Kott — osioł. Czy naprawdę na tym polega satyra? Pamiętajmy, że w szkole, w pierwszej lub drugiej klasie bardzo wszyscy lubili ten rodzaj satyrycznej polemiki. Na tablicy rysowało się świnię albo osia i pisało się: Minkiewicz. Minkiewicz przychodził, zmazywał swoje nazwisko i pisał: Dygat. To było bardzo wesołe i wszyscy chłopcy bardzo się śmiali, ale już w trzeciej klasie świnią Minkiewicz zaczął pisywać do „Cyrulika Warszawskiego”, chodząc pod rękę z Tuwimem i nie podejmował więcej tego rodzaju humoru na tablicy. Fraszki i dowcipy w „Lajkoniku” są dowcipami żartownisiami z pierwszych klas gimnazjum i słusznie żali się redaktor Balicki, że „Boy-Zeleński jest tym pisarzem, którego bodaj najwięcej nam brak w dzisiejszej chwili dziejowej”. Brak go przede wszystkim, a szczególnie ducha jego humoru w „Lajkoniku”. Straszny tam natomiast duch inny, ponury i głupek, duch „Wróbel na Dachy”, najgorszego chyba pisma humorystycznego w historii prasy od początku świata. Jeżeli literatura rzuciła hasło „odpowiedzialności za słowo”, to odpowiedzialność ta obowiązuje chyba również satyrę. Nie wolno wypisywać co ślina na język przyniesie tylko dlatego, że trzeba złożyć satyryczny dodatek świąteczny. Nie lekceważymy humoru i obchodźmy się oszczędnie i ostrożnie z tą niebezpieczną bronią. Satyra musi formować i kształcić smak i poczucie humoru narodu. Od braku poczucia humoru, czy od humoru źle pojętego do głupoty dzieli niewielki krok. Przykładem, Niemcy. Kto wie, czy nieszczęścia,

Powróciły dawne nazwy ulic, powróciła znów polska szkoła, powróciło słowo polskie drukowane. Centralne jej położenie spowodowało, iż wobec zniszczenia Warszawy przeniosły się tu urzędy centralne, znalazły gościnie instytucje kulturalne, rozbiły swą kwatery główną wszystkie centralne organy stronnictwa politycznych.

„Rzeczpospolita”, „Polska Zbrojna”, „Głos Ludu”, „Robotnik”, „Wici”, „Wieść”, „Sprawa Chłopska”, „Trybuna Wolności”, „Walka Młodych”, „Chłopi”, „Szpilki” — oto nazwy pism, których siedzibą jest Łódź.

„Główna Księgarnia Wojskowa”, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka” — to wielkie przedsiębiorstwa wydawnicze.

Teatr Miejski pod dyrekcją Henryka Szeleńskiego oraz Teatr Wojska Polskiego otworzyły wkrótce swe podwoje dla publiczności. Jest organizowane „Studio Aktorskie”. Konserwatorium Muzyczne pod dyrekcją znanego muzyka Wilkomirskiego i Filharmonia mają szerzyć kult muzyki. Brać artystów i grafików gromadą całą osiedliła się w Łodzi, tworząc Związek Plastyków i Szkołę Zdobnictwa Artystycznego. Organizuje się Akademia Sztuk Pięknych.

Powstał Państwowy Uniwersytet rozbudowywany na wielką skalę, wydziałów ma on liczny aż 16-cie. Przenacza się w mieście osobną „dzielnice uniwersytecką”.

Literaci polscy mają trzy domy, w Polsce po raz chyba pierwszy w dziejach istnienia Z. Z. L. P.

Łódź pęcznieje... Łódź rozrasta się. Przybyli: powieściopisarki Dąbrowska, Gojawicyńska i Nałkowska, młodzi z grupy „S” Matuszewski i Kott, poeci Jastrun, Ważyk, Nowicki, Pietak, Huszcza, Lec, Minkiewicz... Przybył do Łodzi żywy człowiek, którego jej dawniej brakło: poeta, powieściopisarz, badacz literatury i krytyk, plastyk i muzyk.

Oto Łódź, do której tęskniłem w czasie pięciu lat okupacji, rzucony aż do Krosna podkarpackiego. Łódź, do której dążyłem przejechałem 400 kilometrów pieszo i rzemiennym dyślesem 10 dni.

Adam Galiński

Mieszani

które jak grad spadają teraz na ich głowy, nie są w pewnej mierze przyczyną braku poczucia humoru. Niemcy potraktowali serio nazizm, Hitlera, Goebbelsa i teorię o wyższości narodu germańskiego nad światem i nie byli w stanie dojrzeć małostkowej i nikczemnej śmiechowości tej mieszkańsko-pruskiej fanfaronady.

Satyrycy z „Lajkonika” nie zdradzają wielkiego poczucia humoru, ani nie znają istoty satyry. Od zarzutu tego wyłączam oczywiście utwory pozagrabowe, rzecz dziwna — jedynie świeże i aktualne, jak również autorów tej miary co Swinarski i Miłosz, którzy zresztą swój udział potraktowali dość zdawkowo i wykrętnie. Również felieton Fijasa utrzymuje poziom i co ważniejsze daje lekcję satyry autorowi pononiego dowcipu o osie. Dowcip ten, w pomysłach zresztą zreczyni i zabawny, traci efekt przez swoją trywialność. Ostatecznym efektem jest nazwanie pisarza osłem. To nie jest śmieszne, ani smaczne. Fijas godzi go personalnie. W tym zawiera się różnica między satyrą a niesmaczną napaścią. Jeżeli garbaty napisze niemądry artykuł, wolno wyśmiać ów artykuł, ale nie wolno i nie należy wyśmiać tego, że ma garb. To już nie ma nic do rzeczy.

Nie wolno również pisać fraszek, które są niezrozumiałe, operują mętnymi aluzjami i kalamburami, oraz niemniej mętną pointą. Nie wolno między innymi ze względu na osobisty spokój czytelników. Nad taką jedną fraszką siedziałem całą noc, myślałem o niej następnie cały dzień i jednak nic nie mogłem zrozumieć. Jest to fraszka „O poecie Arturze Marii Swinarskim”:

Ma dużo hartu
choć troszkę wariat,
i dobre fraszki wycynia —
na pierwsze Artur,
na drugie Maria,
na trzecie swina.

O co właściwie chodzi autorowi? To nie ma głowy, ani ogona, ani nawet dwu ogonów „Ma dużo hartu”. Czemu? Do czego to pite? Czy to jest cecha szczególnie wyróżniająca Artura Marię, czy może aluzja do jakiegoś Artura? Taka racja jest niewystarczająca. „Dobre fraszki wycynia”, to jedyne zdanie w tej niedobrej fraszce, które jest jasne i najzupełniej słuszne, ale zato obrażająco źle napisane. Wyraz „wycynia” jest wyrazem żargonowym, a wyraz żargonowy, o ile jest w utworze literackim użyty, musi mieć wyraźne uzasadnienie w stylu lub treści. „Na trzecie swina”. Pomijam już to, że wyraz „swina” w języku polskim nie ma. Przy odrobinie życzliwości można go uznać jako mętną aluzję do wyrazu „świnia” i dalej do nazwiska Swinarski. Ale jaki ma to związek z tym, że chłostany biczem satyry poeta „ma dużo hartu, jest troszkę wariat i wycynia dobre fraszki”? Czy nie prościej i uczciwiej było napisać po prostu: Swinarski — swinią, zamiast udawać, że się pisze fraszkę, czego napisać się nie potrafi? Na pewno koledy i tak bardzo by się śmiały, a fraszkopisarz nie musiałby się męczyć poszukiwaniem rymów.

Panowie z „Wrób...” chcę powiedzieć z „Lajkonika”, nie gniewajcie się na mnie i posłuchajcie dobrej rady: przeczytajcie sobie „Słówa” Boya, „Cztery wieki fraszki polskiej” „Jarmark rymów” Tuwima, „Konia trojańskiego” Hemara, „Nic świętego” Minkiewicza, a potem wydajcie następny numer „Lajkonika”.

Będę niecierpliwie i życzliwie na ten drugi numer czekał.

Stanisław Dygat

Kalendarz kulturalny

Słownik Staropolski. Po śmierci prof. Łosia prace nad „Słownikiem Staropolskim” prowadził dr Henryk Gesterreicher, a nie dr. Estreicher, jak mylnie w nr. 19 „Odrodzenia” zostało wydrukowane.

W Krakowie zapoczątkowano kurs naukowo-informacyjny o ziemiach zachodnich. Od dnia 5. IV. do 14. IV. br. odbyły się następujące wykłady: „Trzy zasadnicze linie polityki państwa w naszej historii” (prof. Mysłowski), „Polski duch Zachodu” (prof. Eug. Romer), „Na ziemi Piastów” (Jan Wiktor), „Geografia fizyczna nowych ziem” (dr Wrzosek), „dr Szaflarski).

W maju br. ukaże się w Krakowie pierwszy numer miesięcznika literackiego pt. „Tworzenie”. Piśmiennictwo w objętości książki od 160 do 200 stron, drukowane będzie poezję, fragmenty powieści, studia literackie, artykuły krytyczne, recenzje, esaje. Redaktorem jest Leon Kruczkowski, sekretarzem odpowiadającym Karol Kuryluk kolegium redakcyjne tworzą: Cz. Miłosz, J. Putrament i J. Wiktor.

W teatrze miejskim im. Słowackiego w Krakowie stanowiąco doradcy literackiego objął Leon Kruczkowski, którego „Kordian” otrzymał nagrodę przed wojną w Warszawie w powódzeniem... Teatr im. Słowackiego wystawił „Zemsta” i „Damy i huźary” Fredy oraz „Dzieła z lasu” Szwajcarskiego. Dyr. Frycz zapowiada wystawienie w przyszłości komedii A. Swinarskiego „Achilles i panny”.

W Krakowie rozpoczęła pracę Akademia Sztuk Pięknych. Zapisało się na studia 270 słuchaczy. Skład profesorski pozostał niezmienny (cztery katedry są jeszcze nieobsadzone), a funkcję rektora pełni prof. Eugeniusz Ajbis.

W Krakowie Obywatelski Komitet Budowy Pomnika Wdzięczności dla Armii Czerwanej ogłosił konkurs na projekt pomnika, z terminem nadsyłania prac do 30 czerwca 1945 r. Nagrody wynoszą: 40 000 zł, 20 000 zł i trzy po 6 000 zł. Z warunkami konkursu można zapoznać się u dr. Nitscha, Zarząd m. Krakowa, Wydział Budowlany.

W Warszawie Wydział Architektury Zabytkowej Biura Odbudowy Stolicy rozpoczął prace mierzące do zabezpieczenia Kolumny Zygmunta. Cieżką figurę z brązu umieszczono na drewnianych szańcach i powoli przesunięto na tymczasowe schronienie do pobliskiego kościoła św. Anny. O ile się nie uda znaleźć odpowiedniego bloku granitowego, z którego można by wykonać nową kolumnę, trzeba będzie złożyć i odrestaurować kolumnę dotychczasową.

W Łodzi zostanie niebawem otwarty Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej pod dyrekcją Aleksandra Zelwerowicza, z wydziałami: aktorskim, reżiserskim i filmowym. Czas nauki i charytaty. Nauka bezpłatna. Pierwsze półroczne traktowane jak kwalifikacyjną mogą być usunięci przez radę pedagogiczną z związku z przedwojenną przeszłością Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej nasuwają się pytania, czy obecnie instytucja ta zostanie złączona z teatrem z prawdziwego zdarzenia, czy też nada będzie pięć żywot szkolarski.

W Bytomiu odkryto znaczna ilość eksponatów z Muzeum Śląskiego w Katowicach, wywiezionych przez Niemców do muzeum polskiego XIX w. m. Matejki i Al. Gierzyńskiego zachował się niemal w całości. Dzieł sztuki kościelnej dotąd nie odnaleziono.

W Poznaniu 22-go marca odbył się inauguracyjny „Czwartek literacki” w Teatrze Polskim zorganizowany przez Związek Zawodowy Literatów w czelędyk czasopisma literackiego „Zdroje”. W czelędyk autorskiej udział wzięli: Kubalik, Czesław, Szaflarski, Strugarek St., Szuster Felicia, Sulc J.

W Częstochowie Związek Zawodowy Plastyków urządził pierwszy w wyzwołanej Polsce wystawę obrazów i rzeźby (salon wiosenny r. 1945). Wyznaczone zostały nagrody, m. in. prezydenta miasta „Głosu Narodu”, Związku Zawodowego Literatów, Urzędu Informacji i Propagandy.

Teatr im. Wyspiańskiego w Katowicach rozpoczął swą działalność wystawieniem „Zemsta” Fredy z Adwentowicem w roli Cześnika i Kwaskowskim w roli Rejenta. Kierownictwo teatru spoczywa w rękach Karola Adwentowicza i Wilama Horzyckiego, którzy częściowo zorganizowali już zespół aktorski. Plany teatru obejmują repertuar wielki (któryś z dramatów Słowackiego — „Balladyna” lub „Mazepa” oraz Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej”) i nowe sztuki pisarzy współczesnych. Przewidziano jest wystawienie sztuki Krystyny Grzybowskiej „Promieniści”, osnutej wokół postaci Maryli Werszackówny, Jarosława Iwaszkiewicza „Maskarady” i „Bezdroża” Jerzego Zawieyskiego. W dalszej przyszłości teatr zamierza wystawić sztukę angielską pisarza Williama Zienleia, gdyż akcja jej rozgrywa się w analogicznej atmosferze walskiego zagłębia węglowego a bohaterem jej jest robotnik Teatr im. Wyspiańskiego obejmować będzie swą działalnością teren całego wielkiego województwa śląskiego.

Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało 8 nagród literackich. Nagrody otrzymał: Artur Górski za dzieło „Niepokój naszego czasu”, Zofia Tadeuszowa Zeleńska za opiekę nad spuścizną literacką męża, Julian Przybysz za tom poezji „Półki mój żyjemy”, Jan Wiktor za powieść „Orka na ugorze” oraz Czesław Miłosz, Edmund Osmańczyk, Stanisław Nedza-Kubiniec i Ludwik Eminowicz za dotychczasową twórczość poetycką.